MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 1 WARSZAWA, 6 STYCZNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

WIARA W POLSKĘ

Wy nie wierzycie w Polskę—? Co? —A ja w nią wierzę!
St. Wyspiański: *„NOC LISTOPADOWA"*

OFICJALNIE szerzona dziś ideologja „państwowa", przeciwstawiana idei narodowej i programowi narodowemu, często bardzo jest objawem bezmyślnego werbalizmu, wynikiem nie zastanowienia się nad tem, że hasło: „Polska musi być państwem narodowem" zawiera treść, jest skrótem całego wielkiego programu, podczas gdy hasło: „Polska musi być państwem... państwowem" nie znaczy nic, niczem treści owej polityki państwowej nie ujawnia. Często bywa ideologja „państwowa" wygodną formułą, cenioną ze względu na jej wielką rozciągliwość, pozwalającą np. na oddawanie współrządów w Państwie żydom, którzy przecież posiadają również przynależność państwową, chociaż trudno ich nazywać „rodakami". Niewątpliwie jednakże wielu z tych nawet, którzy w imię „szerszej" idei „państwowości" stają do walki przeciwko polskiemu obozowi narodowemu, zamiar ma w gruncie rzeczy poczciwy, patrjotyczny. I jeżeli minister spraw wewnętrznych wypowiada pogląd, że walka z nacjonalizmem „obowiązuje ministerstwo zarówno w stosunku do przedstawicieli nacjonalizmu polskiego jak Undo czy p. Gruenbauma", to, stłumiwszy okrzyk zdziwienia, stwierdzić wypada, że przesłanką do podobnie osobliwego wniosku mogło stać się tylko takie mniej więcej rozumowanie:

— W Państwie Polskiem z natury rzeczy przewagę posiadać będzie zawsze ludność polska, stanowiąca w niem większość mieszkańców. Jest atoli niemal 30% „mniejszości", które do narodu polskiego nie należą. Żeby więc część przynajmniej tych „mniejszości" ściślej z Polską zespolić, żeby ułatwić proces ich asymilacji, nie powinno się kłaść zbytniego nacisku na polski, narodowy charakter państwa, wręcz przeciwnie trzeba starać się tę jego polskość tuszować, nadawać mu raczej postać ogólnego, beznarodowego związku „obywateli". Nacjonaliści polscy, chcący widzieć w Państwie Polskiem twór narodu polskiego i jego ducha, stawiający program polskiej polityki narodowej, przez to samo rozbijają Państwo, miast je jednoczyć, stając się czynnikiem równie groźnym i zasługującym na zwalczanie, jak nacjonaliści żydowscy czy ukraińscy.

Z podobnem zdaniem spotkać się łatwo u niejednego szczerego patrjoty, choć właściwie zastanowićby tutaj powinna nietylko „niszcząca gotowość wyrzeczeń" w imię korzyści w każdym razie conajmniej bardzo odległych i niepewnych. Jest coś dziwnie rażącego, dziwnie upokarzającego w samym pomyśle, że najlepszym sposobem pozyskiwania dla Polski miałoby być właśnie... ukrywanie, zasłanianie, zamazywanie zbyt wyrazistych konturów jej duchowego oblicza.

Ale pomysł ten, zrodzony z braku wiary w wartość i siłę przyciągającą własnej cywilizacji narodowej, okazuje się też jednocześnie — z tegoż samego powodu — zupełnie nieprowadzącym do celu. Przeoczono w nim mianowicie rzecz najważniejszą, dążenie jednostki do podciągania się na wyższy poziom cywilizacyjny, przejmowania oraz naśladowania takiego typu życia, który ona uważa za doskonalszy. Dlatego naród o wyraźnie zarysowanej indywidualności, potrafi niejednokrotnie, dzięki szlachetności swych ideałów moralnych, wielkości tradycji historycznej, urokowi odrębnego obyczaju, zachować dużą zdolność asymilacyjną wówczas nawet, kiedy wogóle pozbawiony będzie bytu państwowego, jak Polska w wieku XIX. Zbiorowości o obliczu duchowem niewyraźnem, mglistem, zespolone jedynie węzłem przymusu prawnego, w nikim ognia umiłowania nie rozniecą. Nie naskutek umyślnego zacierania cech polskości w ideałach i formach życia zbiorowego, zdobywaliśmy dla niej Lelewelów, Libeltów, Polów, Matejków, Szopenów.

Wiara w naród jest najpewniejszą rękojmią utrzymania i rozwoju bytu narodowego i nie można znaleść lepszego zabezpieczenia narodowości niż to, ja-

kie w „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego“ Mickiewicz zalecał emigrantom: „Zaprawdę powiadam wam: nie wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej“. Kiedy po powstaniu styczniowem, pod działaniem rodzących się prądów radykalnych i socjalistycznych, młode pokolenie nisko cenić zaczęło tradycyjne wartości cywilizacji polskiej, widząc w nich „przesądy“, „zacofanie“, i t. d., droga dla przenoszenia do nas obcych wzorów została wyrównana i otwarta: w tym nastroju zrozumiałe było zupełnie, że np. w tajnem kółku „samokształcenia się“ w gimnazjum wileńskiem, gdzie młodziutki Józef Piłsudski dyskutował o „socjaliźmie jako wielkiej etycznej zasadzie nowego życia“, nietylko kolportowano konspiracyjne druki rosyjskie, czytywano dzieła Hercena, Bakunina, tudzież Tołstoja, ale nawet — jak zaświadcza Wacław Sieroszewski — w zewnętrznych formach obyczajowych wpływy rosyjskie objawiały się przez „używanie zabronionych zwyczajami wyrazów, przez ostentacyjne „nie kłanianie się“ i nie witanie z nikim, przez „tykanie“ wszystkim i nazwę „braciszku“ stosowaną zamiast pan i pani lub panno“...

Wogóle bowiem naród tylko te jednostki może wciągać w krąg swoich wpływów i częściowo przynajmniej asymilować, którym w ten czy inny sposób i m p o n u j e. Pełnia i świetność cywilizacji narodu francuskiego sprawiły, że szczególnie w ciągu dwóch ostatnich stuleci, wpływy francuskie, a niekiedy wprost język francuski zapanowały w życiu warstw oświeconych całej Europy. Dzisiaj znowu, kiedy, jak stwierdza Dmowski, coraz bardziej szerzy się religja pieniądza i użycia, widoczne staje się, jaki urok zniewalający uzyskuje w oczach jej wyznawców naród, najobficiej łaskami tych bóstw obsypany — amerykanie. Czyż potrzeba rozwodzić się nad zdobyczami „amerykanizmu“ w dziedzinie zwyczaju i obyczaju, albo nad postępującą u nas ciągle amerykanizacją gustów, rozrywek, prasy...

To też jeśli rzeczywiście pragnie się scalenia wewnętrznego Polski, moralnego związania z nią obcych jej dziś jeszcze duchowo grup etnicznych, szlak ku temu nie prowadzi poprzez grząskie, tumanami mgławemi zasnute manowce ideologji beznarodowo-„państwowej“. Jedna tylko jest droga, wymagająca wysiłku, ale wiodąca do celu: trzeba być narodem wielkim, a „wielkim jest naród, który wysoko nosi sztandar swej wiary, swej cywilizacji i swej państwowości“; trzeba, ażeby „Polacy sami czcili i nakazywali innym cześć dla swej wiary, dla cywilizacji polskiej i państwa polskiego“; trzeba, ażeby polskość wyrażała się „w przywiązaniu i czci dla przeszłości“, „w głębokiem poczuciu obowiązku względem Ojczyzny“, „w wysokim poziomie obyczajów“, „w bogatej i posiadającej wysoki poziom twórczości duchowej we wszystkich dziedzinach“, „w wielkiej wytwórczości materjalnej“; trzeba żeby Państwo Polskie zdolne było „zapewnić wszystkim obywatelom sprawiedliwość“, „przestrzegać surowo prawa“, „nakazywać szacunek dla siebie i swych instytucyj“[1]). Ale na to potrzeba przedewszystkiem w i a r y w n a r ó d, zrozumienia przechowanych w psychice i w tradycji polskiej wartości, dzisiaj w świecie zapomnianych albo niedocenianych, jutro zwycięskich. Potrzeba słowem, zdobyć się na ambicję wielkich przeznaczeń dziejowych wielkiego narodu, która się udziela innym, wywiera urok, porywa.

Dokładniejsze poznanie podłoża psychicznego, z którego wyrasta modna dziś w różnych obozach politycznych ideologja „państwowa“, dopomaga ściślej określić najbardziej zasadniczą różnicę, jaka istnieje między kierunkiem narodowym w Polsce, a wszystkimi jego polskimi nieprzyjaciółmi. Pogląd, że przeciwnicy programu narodowego nie są patrjotami, byłby zbyt uproszczony, a niekiedy nawet wysoce niesprawiedliwy w stosunku do ludzi, którzy dla Polski gotowi byli cierpieć prześladowanie, przelewać krew, poświęcać życie. Najistotniejsze, najgłębsze przeciwieństwo nie tkwi bynajmniej w braku przywiązania do Polski, ale w braku wiary w naród.

Ten brak wiary kazał niegdyś szczerym skądinąd patrjotom iść do ludu z hasłem rewolucji socjalistycznej, nie przypuszczali bowiem ani na chwilę, by idea niepodległości Polski mogła sama, bez odwołania się do interesów osobistych i egoizmów klasowych, przemówić żywiej do duszy polskiego robotnika i chłopa.

Ten brak wiary pchał w okresie wojny światowej do bezmyślnych odruchów powstańczych po to tylko, by zaświadczyć, że „nie zabrakło polskiej szabli“, nie umiano bowiem nawet przeczuć faktu, że naród polski może mieć świadomą celu wolę, świadomą politykę, że więc stać go na coś o wiele większego, niż gest piękny, dowodzący, że żyje i buntuje się przeciwko uciskowi.

Ten brak wiary przejawia się także obecnie w całym systemie politycznym obozu „pomajowego“ i lewicy, nie zaś jedynie w owym tak znamiennym zresztą pomyśle zespolenia wewnętrznego Polski przez zwalczanie „wszystkich nacjonalizmów“, nie wyłączając polskiego. Brak wiary w Polskę — oto jest rzeczywista podstawa owego wspólnego języka, którym tak łatwo porozumieć się umieją dawni „trójlojalistyczni“ ugodowcy i dawni rewolucjoniści socjalni.

A tymczasem dokonywa się w życiu polskiem proces narastania nowych sił, wchodzi w życie młode pokolenie, wierzące w naród, w jego niewyczerpaną energję i żywotność, z odrazą albo politowaniem spoglądające na tych wszystkich „poprzestających na małem“, którym wystarczą pomajowe „sukcesy“ naszej polityki i dla których „wszystko jest już doskonale“. Nic dziwnego, że pokolenie to staje w opozycji do dzisiejszego systemu oraz jego zwolenników, że szereguje się pod sztandarem Wielkiej Polski.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[1]) Cytaty z Deklaracji Ideowej Obozu Wielkiej Polski z dn. 4 grudnia 1926 roku.

GENEZA JUDEOCENTRYZMU

JUDEOCENTRYZMEM zowie się w nauce historji pogląd, jakoby dzieje Izraela stanowiły trzon, ośrodek główny i oś zasadniczą całej przedchrześcijańskiej, historji powszechnej. Rzecz sama istnieje, przyjęta ogólnie, wprowadzona do elementarnego nauczania zasad wiary św., ale nazwa rzadko komu jest znana, boć czyż trzeba nazw specjalnych na rzeczy „powszechnie wiadome"? I gdyby nie historycy, mieliby dorośli zupełny spokój ze sprawami, które są „dziecku każdemu wiadome". Ale historyk, ten sceptyk zawodowy, podobno nawet tabliczkę mnożenia uznaje dlatego tylko, iż są sposoby sprawdzenia jej w każdem pokoleniu historycznem z osobna. Nie wolno nie sprawdzać!

Oczywiście specyficzną uciechą historyka jest chronologja, data, badanie początków, żeby był przy wszystkiem ów *„terminus a quo"*. Czasem zjawiają się przy tem rzeczy nadzwyczajne, dla współczesnych poprostu nieprawdopodobne. Np. któż nie będzie zdziwiony twierdzeniem, jako przyznawanie żydom nadzwyczajnego, uprzywilejowanego stanowiska w historji powszechnej nie ma za sobą bynajmniej żadnej a żadnej starożytności. A jak się to zrobiło i kiedy, opowiem.

Lecz przedtem jedno zastrzeżenie. Piszę rozprawę historyczną, a nie teologiczną. Wiem, że ze względu na Chrystusa — Mesjasza, okresy oczekiwania go stanowią odrębną epokę, gdyż epokowym jest tu fakt przyjścia Mesjasza; wiem, że ten podział dziejów jest już u Ojców Kościoła — ale też i obecnie dzielimy je na przedchrześcijańskie i chrześcijańskie. Podział ten nie ma nic do zagadnienia, czy w epoce przedchrześcijańskiej żydzi stanowili całego pochodu dziejowego centrum i motor, około którego cała historja powszechna kręciła się? Niema też takiego twierdzenia w Ojcach Kościoła, którzy zresztą nauką historji nie zajmowali się. Mamy tu do czynienia z problematem historjozoficznym wcale nowożytnej daty.

Chodziło o syntezę historyczną. Wyczerpały się już „cztery monarchje" dziejopisarstwa średniowiecznego, poczem po fali uniwersalności nastała fala różniczkowana i historycy rozdzielili się. Nie mogli wybrnąć z labiryntu lokalnych odmienności i przestali się wnet kusić o nową jakąś formułę powszechno-dziejową. Rezygnowano z nauki historji powszechnej, nie mogąc wyszukać motywu powszechnego, zwłaszcza, odkąd protestantyzm utrudnił odszukania łącznika.

Pierwszym historykiem, który zainteresował się na nowo zagadnieniem syntezy, był Bacon werulamski (1561—1626). Opracowywał długo dzieje Anglji od pojednania obu Róż do zjednoczenia królestwa za Jakuba I, lecz nie zdążył i wydał tylko historję Henryka VII (w r. 1621). Nie zdążył, zapracowany ogromem swej *„Instauratio Magna"*, której również ledwie złomki zdołał wykończyć.

Młodszy o całe pokolenie Réné Descartes (1596—1650), wynalazca geometrji analitycznej, wymagający wszędzie w ujmowaniu zjawisk formuły ogólnej i prostolinijności, historją się nie parał, zaciążył jednakże nad jej rozwojem swą wybitną umysłowością. Jego *„Discours de la méthode"* dostarcza historykowi niejednego bodźca, zwłaszcza w zestawianiu, w wyszukiwaniu podobieństw i różnic. Kartezjusz miał ogromne poczucie powszechności, jakkolwiek dla względów poważnych (które wyłuszcza w rozdziale III „Dyskursu") trzyma się swego „rodzimego obyczaju".

Matematyczna prostolinijność Descartesa nadawała się doskonale do koncepcyj literackich, to też wpływ jego działał ożywczo na literaturę francuską, a znać go i poza Francją (choćby w stylu tragedyj Alfierego) — ale ta sama prostolinijność stała się kulą u nogi historyków.

Historykiem był Wilhelm Leibnitz (1646—1716), autor i wydawca takich *„Accessiones historicae"*, *„Annales imperii"*, *„Disquisitio de origine Francorum"*, *„Scriptores rerum brunsviventium"*, zarazem współtwórca rachunku różniczkowego i autor *„Monadologii"*, obok *„Systema theologicum"*. Marzył o uniwersalnym kluczu logicznym, z którego pomocą doszłoby się do nauki uniwersalnej.

W Baconie, Kartezjuszu i w Leibnitzu tkwią punkty zaczepienia trzech szkół historycznych. Szkoła Leibnitza długo wstrzymywała się od syntezy, oddana pracom monograficznym; śmiało natomiast parły do syntezy tamte dwa kierunki. Bacona cenił sobie nadewszystko i pragnął być godnym jego następcą, uzupełniającym go w naukach historycznych, Gian Battista Vico (1668—1744), który przyszedł na świat aż w 42 lat po zgonie swego mistrza—gdy tymczasem kartezjańskie poszukiwanie „linji" w historji rozwinęło się dawno przedtem, zamieniając dziejopisarstwo stopniowo na jakieś literackie filozofowanie. Była to metoda medytacyjna w historji.

Rozpoczęli te medytacje pierwszorzędni teologowie, świeczniki Kościoła.

Nie długo miała historja powszechna czekać na tę cechę, którą możnaby nazwać „linją kartezjańską". Nicolas Malebranche (1638—1715), teolog i moralista, sam uważający się za ucznia Descartesa, pracował wiele około wyrobienia metody, aż wreszcie w r. 1674 ogłosił główne swe dzieło *„De la recherche de la verité"*. Zajmuje się między innemi również kwestją biegu dziejów i dochodzi do przekonania, jako każde zjawisko (i historyczne także) stanowi *„vision en Dieu"*. Innemi słowy możnaby powiedzieć, jako objawia się w historji działanie Opatrzności—co jednak nie uwalnia od pytania, jakąż „linję" Opatrzność dziejom wytknęła. Malebranche ułożył równanie, określiwszy tylko stosunek niewiadomej do wiadomych, po nim miał przyjść Bossuet, który wstawił „wartość" w miejsce niewiadomej — jeżeli wolno użyć porównań matematycznych, co chyba nie jest niestosowne, skoro mowa o spuściźnie Descartesa.

Wspomniano powyżej, jako rozłam zachodniego chrześcijaństwa przeszkadzał historykom, żeby móc osadzić narrację historji powszechnej na jakimś motywie powszechnym jednym, jedynym, wyłącznym. Ale otóż Jacques Benigne Bossuet, wielki teolog, największy kaznodzieja, biskup i nauczyciel delfina (1627—1704), był twórcą czterech „artykułów gallikańskich" i ostatnim z wybitnych teologów i wysokich dostojników kościelnych, który łudził się, że jeszcze może da się odrobić rewolucja protestantyzmu. Po długiej w historjografji przerwie zabrał się też do ułożenia podręcznika historji powszechnej właśnie Bossuet, ten, który miał otuchę przywrócenia jedności, sądząc, że możliwe jest pojednanie z protestantami. Po tamtej stronie oddawał się temu samemu złudzeniu taki wielmoża duchowy swego wieku, jak

Leibnitz. Obaj ci mężowie porozumiewali się w tej sprawie aż do roku 1694. Leibnitz podejrzewany był o „kryptokatolicyzm", a Bossuet nie szczędził wysiłków naukowych, by teologicznie dowieść możliwości pojednania, a protestantów usposobić życzliwiej. Dwa dzieła: „*Exposition de la doctrine de l'Eglise catholique sur les matières de controverse*" i drugie: „*Histoire des variations des Eglises protestantes*" uchodzą za tendencyjne, ażeby stawiać przeciwnikowi złote mosty. Otóż w sam raz w tych latach pracował Bossuet również nad powiązaniem całego toku historji powszechnej w jeden wątek logiczny. Pomiędzy daty dzieł tamtych, 1671 i 1688 wypada wydane w roku 1681 a dedykowane delfinowi (jakoby odbywane z nim lekcje): „*Discours sur l'histoire universelle jusqu'à l'empire de Charlemagne*".

Nie sięgnął dalej. Może byłby kontynuował, gdyby się powiodło było pojednanie z inowiercami? Ale układy się rozbiły, i znów droga do jednolitej narracji historycznej zatarasowana była rozłamem tego, co z natury rzeczy uchodziło za typowo uniwersalne. Konstrukcja powszechno-dziejowa musiała być wstrzymana aż do czasu, kiedyby znalazł się autor, któryby całkowicie zignorował tę albo tamtą stronę — albo też obie, wynajdując kryterjum niereligijne.

Przyjęło się uważać dzieło Bossueta za pierwszą próbę filozoficznego traktowania dziejów. Koncepcja jego arcyprosta; tak prosta, iż dziwić się trzeba, że dawno nie została wymyślona, boć leżała dla każdego teologa, jak na dłoni: uniwersalizm chrześcijaństwa pojęty historycznie, rozważany historycznie, a zatem przyjęcie historji Kościoła za oś historji powszechnej.

Tego mógł dokonać tylko autor pewny swego w teologji, taki właśnie Bossuet, nazywany przez współczesnych ostatnim Ojcem Kościoła.

Chodziło o rzecz niełatwą, napiętrzoną trudnościami: jak pisać dzieje Kościoła Chrystusowego przed jego powstaniem? Trzeba było wziąć na swą odpowiedzialność utajone dzieje Kościoła przed Chrystusem, trzeba było tak rzecz obmyśleć i ułożyć, żeby kwestjom o wyczekiwaniu i przeczuwaniu Mesjasza— dla nieteologów nie bardzo jasnym — nadać jasność historyczną, iżby były dostępne i zrozumiałe dla każdego wykształconego czytelnika. Czyż pomysł ułożenia kanonu dziejów Kościoła (jako tła dla dziejów powszechnych) przed utworzeniem Kościoła nie należy do najśmielszych, jakie zdarzały się kiedykolwiek? Bossuet był taką powagą, iż mógł to wziąć na swoje barki i na swoją odpowiedzialność.

Bossuet nie jest narratorem tylko. Objął on to doskonale swym umysłem, że do dociekań historyka należy cały dorobek intelektualny i wogóle poglądy różnych czasów na zasadnicze zagadnienia życia. Czytamy np. u niego, jako „trudno wyrazić, co filozofja dla utrzymania wolnego rządu Grecji sprawiła. Im bardziej narody te wolnością się zaszczycały, tem większa wynikała potrzeba ustanowienia i ugruntowania dobremi sposobami prawideł do tych obyczajów i społeczeństwa"[1]). Wszystko roztrząsane jest, jakbyśmy dziś powiedzieli, na tle życia umysłowego — w miarę skąpych źródeł, jakiemi mógł się posługiwać i nader wątłego dorobku badań współczesnej wiedzy historycznej. A powaga jego opowiadania, w połączeniu z nadzwyczajnym talentem stylistyki i z głębokiem przejęciem się przedmiotem — wydały dzieło pierwszorzędnej na owe czasy wartości. Niektóre części stanowią dotychczas przedmiot podziwu.

Wywody historjozoficzne Bossueta możnaby streścić w jednem zdaniu w te słowa: Przemijają państwa i narody (ażeby monarchów uczyć skromności), a religja prawdziwa wiecznie ta sama.

Bossuet, jeden z największych kaznodziejów, utrzymuje całe długie ustępy swej „Historji" w tonie doprawdy kaznodziejskim, a na osnowie dziejów wykazuje Prawdę nadprzyrodzoną religji katolickiej, jak się przejawia i potwierdza także na losach narodów. Możnaby powiedzieć bez przesady, że ma to być udowodnienie teologji za pomocą historji.

Tezą zasadniczą tak teologji, jako też historji w ujęciu Bossueta jest jedność historyczna wiary chrześcijańskiej z żydowską, istniejącą jego zdaniem od samego stworzenia świata. To czego nas uczono już w szkole ludowej na lekcjach religji, stanowi u Bossueta po raz pierwszy temat systematycznych dochodzeń naukowych i przez niego obleczone jest w syntezę jednolitego toku myśli; nieprzerwalny związek Starego Zakonu z Nowym. Żydowska religja, jedyna prawdziwa aż do przyjścia Mesjasza, jest u niego kolebką ideową chrześcijaństwa—a zatem religja jest odwiecznie w zasadzie ta sama.

Bossuet dzieli czasy od stworzenia świata do KarolaW. na „siedem wieków" i 12 epok, Adam, Noe, Abraham, Mojżesz, — oto cztery epoki historji żydowskiej, jako... powszechnej. Piąta pod tytułem: Wzięcie Troi, opowiada o Troi, ale akcent kładzie na współczesnych sprawach Samsona, Samuela, Saula i t. d. Szósta epoka: Salomon. Siódma: Romulus, ale nieproporcjonalnie tam dużo znów historji Izraela. Dlaczego osobny dalszy (ósmy) okres zowie się „Cyrus", wyjaśni sam tytuł: „Cyrus, albo Żydzi przywróceni". Ten Cyrus potrzebny ze względu na dzieje żydów. Nie uroni się żadnego Machabejczyka, Oniasza, Hirkana i t. p. w epoce „Scypion, albo Kartagina zwyciężona". Potem następują początki chrześcijaństwa, epoka Konstantyna „czyli pokoj Kościoła" i Karol W. „czyli założenie nowej monarchji".

Określiwszy „siedem wieków świata" w tych 12 epokach przechodzi Bossuet w części drugiej swego dzieła, do sprawy „następstwa religji". Wyłącznie żydowskiej historji poświęcona jest lwia część tego działu (str. 209 — 490), boć cóż wznioślejszego i pożyteczniejszego, jak „religja i historja ludu Bożego"[2]). Od Bossueta dzieje Izraela stały się istotnie jakby częścią składową naszej religji, dzięki temu, że się tak przyjęło i spopularyzowało jego twierdzenie: „Religja zawsze była jednostajna, albo lepiej mówiąc, zawsze jedna była religja od początku świata"[3]).

To też starożytna historja żydowska stanowi nietylko oś całej powszechnej, ale sens historji powszechnej w tem, żeby ją pojmować w odniesieniu do żydowskiej. Część trzecia: „Państwa", ze wszystkiemi swemi „odmianami państw" (scytowie, etjopczykowie, egipcjanie, assyryjczykowie, medowie, persowie, grecy i Aleksander, rzymianie z dalszemi odmianami tego państwa) będzie mieć przedewszystkiem za zadanie wykazać, jaki ich związek z historją Izraela.

„A najprzód państwa te ścisły po większej części mają związek z dziejopisowstwem ludu Bożego.

---

[1]) Cytuję według tłumaczenia X. Zygmunta Linowskiego, Pijara: „Uwagi nad historyą powszechną, objaśniające początek, wzrost religii i odmiany państw. Tom I. Od początku stworzenia świata aż do panowania Karola Wielkiego". Warszawa 1772, s. 543. „Tom I" stąd, że X. Linowski przetłumaczył i wydał także dwa tomy ciągu dalszego, niewiadomego francuskiego kontynuatora.

[2]) Tamże str. 209.

[3]) Tamże str. 211.

Użył Bóg Assyryjczyków i Babilończyków na ukaranie ludu tego; Persów dla podźwignięcia go, Alexandra i pierwszych jego następców dla jego obrony; Antyocha sławnego i innych po nich następujących królów na udręczenie go; Rzymian dla utrzymania jego wolności naprzeciw królom syryjskim, którzy mu ją gwałtem wydrzeć zamyślali"[4]).

Słowem: Izrael staje się centrem, ogniskiem, około którego świat się obraca aż do wcielenia Zbawiciela; jego dzieje niepoślednią częścią chrześcijaństwa, fundamentem budowy historycznej. Cała historja powszechna przed Chrystusem — to Izrael z... drugorzędnemi dodatkami. Tak uzyskało się jedną „linję" historji — po kartezjańsku.

W taki sposób Bossuet stał się ojcem judeocentryzmu. Pogląd jego został z czasem powszechnie przyjęty, osadziwszy się wśród protestantów jeszcze mocniej, niż u katolików. Od Bossueta wywodzi się w znacznej części owo szczególne upodobanie do Starego Zakonu w pewnych wyznaniach protestanckich; dotychczas też jeszcze przyjęte jest w niektórych wyznaniach niekatolickich nadawać dzieciom imiona żydowskie. I u nas lubowali się w tem arjanie. Miejmyż wreszcie na uwadze, że dzieła Bossueta nieteologiczne stanowiły lekturę powszechną całej inteligencji europejskiej, bez względu na wyznanie, bo to były arcydzieła literackie. „Dyskurs z historji powszechnej" obiegł całą Europę.

Nie obyło się bez opozycji, ale taka ona była, iż podnosiła bez zastrzeżeń wartość dzieła i jego nader wysokie walory literackie, a tylko zwracała się przeciw judeocentryzmowi. Rzucił się na tę doktrynę najstarszy nowej Europy antysemita, Voltaire. Sam także historyk, zajął się bliżej pewnym sposobem ujmowania historji, który uważano za historję cywilizacji. Bossueta uznaje Voltaire swym znakomitym poprzednikiem, unosi się w pochwałach dla niego, ale na każdym kroku różni się z nim w poglądach. W dziele swem, nadzwyczaj popularnem, „*Essai sur les moeurs et l'esprit des nations*" rozpisuje się i o żydach:

„O żydach można zapewne mówić dużo w teologji, ale w historji zasługują na niewiele miejsca"— powiada w pewnem miejscu, polemizując o to wyraźnie Bossuetem[5]) W rozdziale „O stanie żydów w Europie" przyznaję, jako od nich zaczerpnęliśmy religję, a nawet niektóre z naszych praw i zwyczajów (*usages*), a w zasadzie nie jesteśmy niczem innnem, jak żydami „*nous ne sommes au fond que des Juifs avec un prépuce*"[6]) w końcu atoli uważa ich za nieprzyjaciół rodu ludzkiego, jakkolwiek tłumaczy to okolicznościami historycznemi. Zwyciężeni, zmuszeni przyjąć do wiadomości, że świat jest większy od ich ciasnoty, „*ils se trouvèrent, par leur loi même, ennemis naturels de ces nations, et enfin du genre humain... Ils furent donc avec raison traités comme une nation opposée en tout aux autres; les servant par avarice, les détestant par fanatisme, se faisant de l'usure un devoir sacré. Et ce sont nos pères!*"[7])

W lat dziesięć po „*Essai sur les moeurs*", w r. 1765 wydał Voltaire (pod pseudonimem „feu l'abbée Bazin") dzieło p. t. „*La philosophie de l'histoire*". Jest tam „filozofji" wszystkiego razem półtrzecia wiersza na samym początku książki: „Chciałbyś, żeby filozofowie byli pisali dzieje starożytne, bo pragniesz czytać historję, jako filozof" — i potem w całej książce już o filozofji ni słowa. Przez „filozofję" rozumiało się tu poprostu krytykę, co wymagało w szczególności, żeby nie dawać nigdy wiary autorom kościelnym. Książka jest taką „filozoficzną" poprawką dziejów starożytnych Bossueta[8]).

Niechęć przeciwko Pismu św. skłania Voltaire'a do radykalnego „filozofowania" o żydach. W przeciwieństwie do Bossueta zapytuje, „czy żydzi nauczali inne narody, czy też byli przez nie nauczani?" i poświęca tej kwestji osobny ustęp 49-ty[9]). Pytanie jest retoryczne, odpowiedź przesądzona z góry, nie na korzyść Izraela. Voltaire lubił pokazywać, że nie uważał żydów wcale za naród wybrany, ani nawet w najbardziej zamierzchłej przeszłości, i dzieła jego pełne są docinków do nich stosowanych, ale też jest to bądź co bądź pierwsze krytyczne stanowisko wobec zagadnienia żydowskiego. Jakakolwiek ich wyższość — jest u Voltaire'a czemś niedopuszczalnem. Jeżeli przyzna, jako w czemkolwiek u nich się zapożyczyliśmy, doda zawsze ubolewanie: niestety. Przerabia też po swojemu, krytycznie, całą historję żydowską Starego Zakonu i dalej do Józefa Flaviusa. Nie zostaje z tego kamień na kamieniu[10]).

Książka ta przestała następnie liczyć się samoistnie, lecz weszła do późniejszych wydań „*Essai sur les moeurs*", jako tom pierwszy. Pozostała w dziejach historjografji karta tytułowa, autorowie przeglądów historjozofji stwierdzają, iż Voltaire pierwszy użył wyrażenia „filozofja historji".

Antyreligijne stanowisko Voltaire'a sprawiło, iż wierni trzymali się tem bardziej Bossueta. Głos jego rozbrzmiewał na nowo. Żałowano tylko, że utknął na Karolu W. Zjawiła się kontynuacja (nie wiem, czyjego pióra), którą w Polsce przypisywano wprost samemu Bossuetowi. Polski przekład X. Zygmunta Linowskiego Pijara obejmuje trzy tomy, w czem dzieło Bossueta „Od początku stworzenia świata aż do panowania Karola Wielkiego" (Warszawa 1772) stanowi tom pierwszy „Uwag nad historją powszechną, objaśniających początek, wzrost religji i odmiany państw"— zgodnie z oryginałem, lecz wbrew oryginałowi dołącza tomy następne pod tym samym ogólnym tytułem.

Oczywiście X. Linowski tłumaczył dla użytku szkół pijarskich. Z tego podręcznika uczyła się historji cała inteligencja polska owego i następnego pokolenia — czytując obok tego także Voltaire'a. Używał Bossueta i Kościuszko, wychowanek Pijarów — a nie łatwo przypuścić, żeby go nie był znał Mickiewicz. W każdym razie od Bossueta wywieść należy ten fakt, że dla Mickiewicza Izrael jest „starszym bratem".

Książka Bossueta stała się podręcznikiem szkolnym dla szkół średnich i wzorem do układania podręczników dla szkół elementarnych. Dzisiaj jeszcze katecheci szkolni (prefekci) szerzą zapatrywania Bossueta. Od niego bowiem wywodzą się wszystkie szkolne „Historje Biblijne Starego Zakonu."

Zważmyż, jako książka Bossueta pisana była w formie lekcyj historji powszechnej dla delfina. Któżby nie chciał mieć syna wychowanego na podobieństwo królewicza?! Okoliczność ta przyczyniła się niemało do popularyzowania podręcznika w coraz szerszych kręgach.

Nadszedł wiek XX, a z nim także zasadnicza rewizja stosunku historycznego chrześcijaństwa do żydostwa,

---

[4]) Tamże str. 560,561.

[5]) W wydaniu stereotypowem w Paryżu z roku 1817 tom VIII, n. 202.

[6]) Tom V, s. 79, tu wyraził się grubo nieprzyzwoicie.

[7]) Tamże s. 83.

[8]) „*La philosophie*"... jest w znacznej części przedrukiem 53 paragrafów poprzedniego *Essai*..." — ale wdawać się tu bliżej w stosunek tych dwóch publikacyj niema powodu ni celu.

[9]) „*La philosophie*"..., wyd. I., S. 347 — 351.

[10]) *Chapitres* 38 — 46.

i nowe dziedziny i nowe hypotezy w studjum Starego Testamentu. Fustel de Coulanges, Boissier, Chamberlain, wreszcie nasz Tadeusz Zieliński (najdokładniej) — zabierali głos, a coraz nowsi uczeni zajmują się coraz liczniejszemi kwestjami, pozostającemi z tem w związku. Sądziłbym, że od bardzo dawna nie podejmowano dyskusji równie doniosłej, z konieczności pełnej następstw wielce wielostronnych. Pewne dane każą przypuszczać, że właśnie w Polsce kwestja wejdzie w stadjum dyskusji rozstrzygającej.

W takiej chwili nie od rzeczy będzie przypomnieć genezę judeocentryzmu.

FELIKS KONECZNY

SABBAT

MAŁE zdarzenie odsłania czasem rozległe w danej dziedzinie widoki. Doznała tego na sobie najnowsza powieść p. Juljusza Kaden-Bandrowskiego p, t. „Lenora“. W normalnych życia warunkach byłaby minęła niepostrzeżenie, budząc tu i owdzie głośniejszy, ale przelotny wyraz niesmaku i politowania. W obecnym, wręcz chorobliwym stanie społeczeństwa polskiego rozdarła zasłonę, odsłaniając przed oczami ogółu polanę Łysej Góry z wirującym na niej sabbatem jędz i poczwar wszelakich. Niechcący i ubocznie dokonała dzieła dobroczynnego.

W grudniu r. z. ukazał się w pismach warszawskich komunikat o udzieleniu państwowej nagrody literackiej p. Kaden-Bandrowskiemu. Redakcja „Myśli Nar.“ podaje go w niniejszym zeszycie w całości, w dziale „Z życia literackiego“. Zwracam uwagę na następujące zdanie sądu konkursowego: „W toku dyskusji wysunęły się na pierwszy plan jako utwory, kwalifikujące się do tegorocznej literackiej nagrody dwa dzieła Juljusza Kaden-Bandrowskiego: „W cieniu zapomnianej olszyny“ i „Lenora“.“

Jak wynika z komunikatu, tylko okoliczność zewnętrzna przeniosła nagrodę z jednego dzieła p. Kadena na drugie. Zasadniczo sąd konkursowy uznał „Lenorę“ za utwór godny państwowej nagrody literackiej.

Niemal jednocześnie ukazały się krytyki „Lenory“, ze strony lewicy entuzjastyczne, ze strony przeciwnej pochwalne z lekkiemi zastrzeżeniami. Jako typowe przypomnę dwie: p. Wincentego Rzymowskiego i p. Zdzisława Dębickiego, dwóch krytycznych świeczników Warszawy. Reporterja prasy lewicowej podjęła na rzecz „Lenory“ i jej autora głośną nagankę reklamową. Że nadto wydawnictwa książki dokonała poważna firma „Zakładu narodowego im. Ossolińskich“, dzieło otrzymało najprzedniejsze warunki rozgłosu i wpływów.

Rozważmy teraz wartość tak rozsławionej powieści, zaczynając od wymagań elementarnych, najskromniejszego pisarza obowiązujących.

Język powieści ubogi i tak pospolity, że aż dziennikarski z rubryki „wypadków“; upstrzony tu i owdzie błędami z oślej ławy przedszkola. Czytelnik zechce łaskawie sam to ocenić na szeregu przytoczeń. Oto one:

„To, bracie, nie buddystyczne trzy minuty, a amerykańskie dolary“. „W szklanych wróbelkach na telegraficznym słupie piszczał ciekły głos jesieni, na drutach drżały zlepione kosmyki roślinnych ostatków“. „Po długiej chwili odezwały się kroki. Przedreptawszy w kilku kierunkach, zatrzymały się u drzwi, wydając dyszkantem: — Czy to mleko?“ „Miejsca obojętne pisane były charakterem kobiecym,... inne, widocznie ważniejsze, szły w autografie“. „I jeszcze potem wątpić w przyszłość Zaprawy!“ „Tadeusz stał już oddawna na stanowisku nie mienia do nikogo pretensyj“. „Uśmiechnął się szeroko i krzyknął swym potężnym organem poprzez wszystkie głosy“. „Można całe życie przeprowadzić najrozumniej, a potem, pewnego przedpołudnia ułoży się, że w takiej oto ruderze uciekasz pod górę przed sforą najwierniejszych wyznawców“. „Zupa pomidorowa z ryżem, pieczeń cielęca z nerką, — słodkie! Na słodkie — kompot“. „Papierzane serwetki“. „Leader odmachnął się dłonią, jak od najgłupszego cwiszenrufu“. „Żałosne milicjanty za każdym krokiem niecące kurz przydłużonemi szeroko, jak kowbojskie portki, nogawkami“. „Po tylu wojnach, jedyna przecie dewiza ludzkości: odreperowoć ciało“. „Uczuł, że pytanie to sprawia jej ogromny ambaras“. „Ciało całej rodziny szło codzień przez jej ręce“. „Z żałosnym wyrzutem spojrzał na orzecha, leżącego pod fortepianem“. „Trzeba to było koniecznie wypośrodkować“. „Nie były to łzy dziecinne, czy też damskie...“ „Zaśmiał się Koza, przynikając pokornie do ramienia Tadeusza“.

Na podstawie taj garści przykładów można już sprawiedliwy powziąć sąd o szkolnem przygotowaniu autora w zakresie języka polskiego. Już nie profesor wszechnicy stołecznej, polonista i estetyk, ale zwyczajny nauczyciel szkoły powszechnej uzna je za „niedostateczne“.

Styl tej powieści jest mieszaniną szynkowni podmiejskiej, więzienia złodziejskiego, nory karcianej i lupanaru. Najwyższy poziom stylu, na jaki autor zdobywa się w „Lenorze“, — to łobuzerski cynizm „andrusów“ nadwiślańskich. Najciemniejsze postacie powieści mówią tu w djalogach prościej, czyściej i uczciwiej, niźli sam autor. Czytelnik otrzymuje wrażenie, że powieść pisał autentyczny „doliniarz warsiawski“. Ponieważ styl jest postawą autora, jako mówcy, jego tonem, gestem, spojrzeniem, nawet ubiorem, przeto najkrócej i najtrafniej można go zobrazować w charakterystyce autora, jako estradowego *conférencier'a* jego utworu. Wyobraźmy sobie w tej roli różnych pisarzów np. Kraszewskiego, Kiplinga, Oskara Wilde'a, Romain Rollanda, Wiktora Hugo i t. d. Otrzymamy skalę: gawędziarstwa, szlachetności, wytworności, rozpędu, wielosłownego zapału i t. p. A teraz wprowadźmy na estradę autora „Lenory“. Wchodzi w czapie sportowej na bakier, ręce w kieszeniach, spluwa („strzyka i cyka“) przez zęby i „rozwala się“ w fotelu. Spodnie ma rozpięte, wierzgnął nogą, że aż trzewik frunął na salę, stopą w brudnej onuczce robi figlasy i kokietuje pannę z pierwszego rzędu. Głos ma przepity, w gardle czkawkę, wargi wzgardliwie wydęte, w miejscach trudniejszych dłubie palcem w nosie. Oto styl autora „Lenory“.

Ze stylem idzie w parze wyobraźnia. Można rzec, że styl jest wykładnikiem wyobraźni autora. Świat, w „Lenorze“ widziany, jest poprostu kupą śmierdzących, na śmietnik wyrzuconych wnętrzności brzucha ludzkiego. Przyroda, miasto, tłum, zdarzenia, rozmowy, ludzie — wszystko tu otrzymuje porównania z anatomji w prosektorjum oglądanej. Autor nie zaniedbuje nigdy powiadomień, że temu bohaterowi powieści śmierdzi z ust mięsem surowem, a od tamtego cuchnie białkiem przestałem i t. p. W opisach miasta, ludzi i przyrody stale powtarzają się „spuchlizny przestrzeni“ „kichy rur“, „wypuczone brzuchy“ (zbiorników), „obrzmiałe“ rogatywki, „skraweczki surowego mięsa“ (opaski czerwone), słowa „lepkie“, wołania „z głębi brzuchów“, „jamy ustne“, oczy „lepią się“, to znów „rozlepiają się“ (w znaczeniu: zamykają się i otwierają), „mlasnął“ (czyli: powiedział), „ciżba tułowi pędziła naprzód“ (to znaczy: tłum ludzki) i t. d. W opisach

mieszkań nie pomija autor tak ważnych szczegółów, jak „klozety“ i „wychodeczki“, a słowo „ciało“ najulubieńszem jest porównaniem autora. Błoto, sprzęt, człowiek, maszyna—wszystko jest ciałem. Naprzykład: „Olbrzymiemi rękoma pieścił puste ciało powietrza“. „W pewnej chwili Kostryn poczuł z obrzydzeniem, że żarliwą wolą ogarnia, przenika, chłonie w siebie wszystkie szczegóły ciała tego człowieka“. I t. d. — aż w końcu czytelnik dusi się w ohydnych oparach tych trzewi, ciał, zgnilizny, tułowi, lepkości i mlaskań, z lubością przez autora opisywanych.

Na podłożu takiego języka, stylu i wyobraźni rozwija autor sceny z życia robotników, inżynierów i fabrykantów Zagłębia Dąbrowskiego. Proszę mi wybaczyć, że przytoczę tu dosłownie kilka tych scen, ale chodzi tu przecie o dzieło, które uznano za godne państwowej nagrody literackiej, opiewane przez hymny krytyków, obnoszone w triumfie przez prasę stolicy. Posłuchajmy.

„Zapatrzony w elektryczne światło, grzebał jeszcze chwilę we własnem ciele. Pachniało grzybkiem, kwasem, piwnicą, czy też może zleżałą trucizną? Jak codzień chyba po pracy ciało każdego człowieka“. „Już szczegółowo zapendzlowała młodą sztygarkę z „Paryża“, już zadała drugiej chininę z gorącemi kąpielami — ile tylko wytrzymać można, moja pani — już Felce Domagało założyła czarodziejska gumkę, po której przyjdzie poronienie, jak mur. Woda, dla niepoznaki odgłosów, płynie z kranu, rozkładają się przed tobą te młode ludzkie żaby i składają...“ „Nie był dla niej poważną figurą ten sekretarz. Mało to dziewcząt zepsuł, mało to płakała po nim i gumek zakładała?“ Dyrektor wahał się na giemzowych kapkach. Przełykał te dziwne wiadomości, poczem, jakby mu znów z żołądka do ust powracały“. „Kostryń poczęstował gościa eukaliptusowym cukierkiem, papierosem, podsunął popielniczkę, zapałki. Poczem obie ręce położył na granatowem suknie *breachessów*, aby czuć dokładnie ciepło tego człowieka. Organizmu. Ustroju. Prawdomówne ciepło ciała“.

Ta ostatnia scena jest dla powieści autora typowa. Ciągle tu wszyscy obmacują się nawzajem i oklepują dokładnie, lubieżnie i gorąco — dyrektorzy, inżynierowie, robotnicy, wszyscy. Nawet sprzęty i przedmioty ulegają tym obmacywaniom. Zaś od czasu do czasu trafiają się w „Lenorze“ sceny miłosne, romantyczne i poetyczne, jak ta naprzykład:

„Wpił się w nią drapieżnemi palcami, pociągnął za włosy, zapchał w kąt, w stronę kufra. Tu zaczął szarpać, obnażać i wydobywać z niej nagie kształty, jak z komody. Ani się bronić, ani krzyczeć, — szczypał tak straszliwie, — ani prosić, ani płakać. Głowa będzie bolała potem pana dyrektora, — jęknęła nieśmiało. Miął jej twarz, zasnuwał ciemnym ruchem, męczył, poniewierał, dopchawszy w kąt, kazał spełniać okropne wymysły. Knote nie pozwoliła dotąd nigdy na takie pohańbienie,—jeszcze po kątach, w kuchni!! Całą nadzieję, dumę całą stanowiło, że gdy już byli razem, to jedynie, jak porządne małżeństwo. Za nic na świecie — szepnęła z pomiędzy kuferka i szafy. Porwał ją za uszy, nacisnął kolanami, zmusił, a potem, jakby oparzył strasznemi słowy: twoje życie jest moje. Nie oglądając się za siebie, wyszedł. Jak siedziała między kufrem a brytwanką z piaseczkiem dla kota — tak pozostała. Zbrakło jej siły by podnosić się zaraz z takiej hańby. Z czołem wspartem na zimnych okuciach kuferka szukała jakiejś pociechy. Aż wreszcie, skrobiąc palcami w zimnym piasku brytwanki, powtarzać jęła w myśli raz za razem bez tchu i bez końca: Zato twoja córka,— twoja córka... Ale zato twoja córka“...

Nie sądźmy jednak, że ta swoista wyobraźnia autora przemawia tylko w scenach odpowiednich. Zjawia się ona wszędzie, przenika wszystko. Oto przykład, kiedy dyrektor odczytuje list przejęty w podejrzeniu o planowanie zamachu politycznego:

„Podszedł bo biurka, odkleił kopertę nad zapaloną świecą i list, niby organ obrzydliwy wstrętnego ciała wydobywszy paznogciami ze środka, przeczytał uważnie“.

Dla pełnej charakterystyki wyobraźni autora należy dodać jeszcze stałe jego i szczególne zamiłowania kucharskie. Najsmakowitszy kucharz-restaurator nie mógłby p. Kadena prześcignąć w porównaniach wszystkiego do zawartości swoich rondlów, słojów, patelni, garnków i półmisków. Roi się tu od takich przysmaków, jak np. „od widoku głów towarzyszy, polanych pięknem światłem bez cienia, zdrowe spojrzenie posła Drążka krzepło, jak gęsi smalec“. Przytem całe gamy muzyczne nudności, mdlenia żołądkowego, czkawek, odbijań, cuchnięć, piszczeń i przelewań brzusznych.

Nie jest to wszystko nowością w literaturze, którą od dziesięciu lat szerzy w Polsce masonerja. Nie jest też nowością u p. Kadena. Jego dawniejsza powieść p. t. „Generał Barcz“ tym samym stylem, tą sama wyobraźnią się odznacza. Dość z niej przytoczyć fakt, że jedynym obrazem plastycznym, jaki autor wyniósł z wojennego frontu polskiego, były „różowe tyłki“ żołnierzów, kucających w wiadomym celu pod płotem.

Z takiem oto tworzywem artystycznem przystąpił autor do powieści, malującej środowisko pracy i kapitału w Zagłębiu górniczem. Temat z natury rzeczy wymaga budowy w wielkim stylu. Autor jednak dał tylko kinematograficzną siekankę w rodzaju próbek, które wyżej przytoczyłem. Treść psychologiczna i społeczna, którą z trudem z tej sieczki da się wyłowić, polega na tem, że robotnicy Zagłębia — to bydło ciemne i brudne, socjaliści — to szubrawcy i karjerowicze, inteligencja i półinteligencja — to bydło, które się myje i masuje, a kapitaliści — to uperfumowani degeneraci. Zresztą, wszystko to w strzępach nieskładnych, w dorywczych scenkach, niepowiązanych nawet w całość fabularną.

Nie mam chyba potrzeby dodawać, że Kadenowy obraz życia górniczego od początku do końca jest zgruntu sfałszowany.

Wiem, że znudziłem czytelnika ogromną ilością cytat, ale mam na to usprawiedliwienie: bez nich mógłbym być posądzony o przesadę i stronność w sądach i wniosku ostatecznym. Teraz zaś wniosek ten mogę sformułować krótko. Mamy tu przed sobą niewątpliwie patologiczny okaz grafomana, dotkniętego impotencją, porkografją i koprofagją.

W społeczeństwie zdrowem inteligencja o kulturze normalnej jednym grymasem politowania przeszłaby do porządku nad takim utworem i autorem. Wiemy jednak, jakie gorące źródła zachwytów wytrysły dokoła „Lenory“, jakie elektryczne słońca reklam ją oświeciły. Choroba nagminna, czy program? I jedno i drugie.

Byłoby błędem traktowanie p. Kadena i jego powieści, jako zjawisk odosobnionych. To jest cząstka całości, dalszy ciąg literatury, którą od dziesięciu lat zalewa kraj nasz tajna i jawna masonerja, a to według programu, już przed trzydziestu pięciu laty wyrażonego w słowach następujących: „W krajach, uważanych za naczelne, tworzymy literaturę szaloną, brudną, wstrętliwą. Przez czas pewien po objęciu władzy będziemy popierali rozwój tej literatury...“ (t. zw. „Protokóły mędrców Syjonu“). Program ten w całości i w szczegółach ma na celu (między innemi) rozkład moralny narodów. Jak zaś daleko idzie popieranie tej literatury, o tem przekonał nas oficjalny sąd konkursowy państwowej nagrody literackiej.

Mamy zatem jedną — lewą połowę rozległego widoku, który nam na sabbat łysogórski odsłoniła „Lenora“. Na pierwszym planie przy stole sędziowskim siedzą trzej żydzi — pp. Breiter, Hertz i Pomper i trzej Polacy pod prezydencją profesora wszechnicy stołecznej, estetyka i polonisty, wychowawcy naszej młodzieży. W głębi na lewo taniec zgnilizny, rozpusty i obłędu. A na prawo?

Na prawo inteligencja polska, również obtańcowująca „Lenorę“ i jej półnagie towarzyszki na miotłach, kotach i nietoperzach. Jeden krytyk tak uogólnia wielosłowny swój na cześć „Lenory“ panegiryk: „Słowa, obrazy i postaci, w jakie zaklął (Kaden) ten pomruk grzmotu, przynoszą zaszczyt talentowi artysty i czujności obywatela“. A drugi tak mu wtóruje: „Zapełnia („Lenora“) lukę dotkliwą i wstyd nam przynoszącą. Daje nam ona skłębiony i chaotyczny, ale tętniący prawdą i przejmujący obraz życia w Zagłębiu dąbrowskiem, które tak mało znamy“. „Jaskrawo, na sposób „*Germinala*“ Zoli przedstawia kwestję społeczną“ i t. d. A jako tło dla głosów krytycznych drze się *jazzband* reklam wszechreporterji. Każdy chce choć raz z cudem „Lenory“ przetańczyć. Mało tu nawet kłamstw świadomych. Naogół — obłęd zbiorowy. Choroba nagminna, umiejętnie tłumowi szczepiona. Sabbat, którego małym w czasie i przestrzeni fragmentem jest cała ta historja z „Lenorą“.

Gdyby powieść tu omówiona dawała pole do najniklejszych bodaj wątpliwości artystycznych, społecznych i obywatelskich, mógłbym sobie powiedzieć: „Ha! trudno... Oni mają taki gust, a ja inny, oni tak rozumieją społeczeństwo, a ja inaczej, oni tak mierzą poziomy obywatelskie i moralne, a ja inaczej“... I wtedy nie zadawałbym sobie i innym trudu w wertowaniu, opisywaniu i analizie powieści wątpliwej, Ale tu? Czytelnik sam widzi, że niema tu żadnych wątpliwości. „Lonora“ jest rynsztokiem obrzydliwości, ohydy i fałszu. I oto polscy profesorowie uniwersytetów, znani literaci i krytycy pod batutą żydowskich pomperów każą społeczeństwu polskiemu jeść z tego rynsztoka, smakować i zachłystywać się zachwytami nad pięknem, czystością i wzniosłością ścieków choroby, zgnilizny i trucizny!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

LIST AL. CHODŹKI

OGŁOSZONY poniżej list zbiorowy Al. Chodźki, M. Piaseckiego, Fr. Malewskiego i A. Mickiewicza z Petersburga do A. E. Odyńca w Warszawie — pozwala wejrzeć nieco w krąg przyjacielskiego współżycia, utrzymanego przez filomatów na wygnaniu; wprowadza też dobrze w atmosferę uniesienia, jakiem rówieśni przyjmowali „Konrada Wallenroda“. Dla tych i paru drobniejszych szczegółów biograficznych, tyczących Mickiewicza, warto podać list ten do wiadomości publicznej.

Autograf jego przechował Odyniec i jak świadczy notatka uczyniona jego ręką, dn. 4 maja 1866 r. ofiarował Brygidzie z Dybowskich 2-o v. Wierzbowskiej. Razem ze zgromadzonym przez nią zbiorem autografów dostał się on później do Bibljoteki Pol. Akademji Umiej. w Krakowie (Rkp. nr. 1352).

* * *

14 Grudnia 1827. Petersburg.

Edwardzie, Ciebie nam braknie do zupełnej przyjemności. Od pierwszych dni tego miesiąca Adam i Franciszek tu bawią. Adam niebawem chce do Moskwy wracać, Franciszek, zdaje się, że tu zostanie. *Wallenroda* cenzura podpisała, wkrótce więc pokaże się na świat z pod petersburskiej lub moskiewskiej prasy. Nie chcę ci nic pisać ani o treści, ani o wrażeniu, jakie sprawia to poema; nadto cię kocham, abym uprzedzeniem twojej ciekawości popsuł ci niezrównaną przyjemność, jaką czują czytający, a tem więcej słyszący je z ust Adama.

Co się tycze Adama samego, bardzo dobrze wygląda i byłby ciągle wesołym, gdyby kilka tu nieprzyjemności nie truło mu humoru. Wieczorami czasem mówi nam ustępy z *Wallenroda* i inne nowsze swoje poezje, zostawiam ci zatem sąd o przyjemności, jaką jego pieśni, jego obecność i jego rozmowa mi przynosi, są to drogie chwile, których słodycz nagradza mi hojnie dwuletnie tu nudy.

Nie wiem, czy cię doszedł tom pierwszy moich poezyj[1]), posłany przez kurjera Kancellarji Królestwa polskiego. Czy porobiłeś jakie kroki do przedania jego? napisz mi coprędzej, abym wiedział, czy gotować tom drugi, czy zupełnie dać pokój.

Piszę do ciebie w mieszkaniu Adama i Franciszka, muszę im następne pół kartki zostawić. Marjan ci się kłania, listy do nich adresuj do mego mieszkania, albo: Dom Żerbina naprzeciw nowego pałacu Xcia Michała.

Twój Aleksander

Mój drogi E., zasyłam ci ukłon; przypomnij mnie Szanownym Joachimowi i Red. Pamię. (tnika)[2]). Piszę tak ściśle, żeby więcej miejsca dla Adama zostawić. Przyłączony do mego brata listek odeszlij natychmiast, o to cię prosi

Marjan

Pozdrowienie z nad Newy

Fr. Malewski

Aleksander mnie każe pisać gwałtem i przynosi do łóżka papier. Nie mam ochoty, bo jestem w kwaśnym humorze, odkładam na później.

Bądź zdrów i kochaj mnie

Co zrobiłeś z wierszami Olesia, oznajmnij mnie. Pisz do Moskwy do Daszkiewicza jak zwyczajnie.

twój A. Mickiewicz

Ponieważ miejsce zostało, musze ci napisać, że złe prowadzenie się jego brata Jerzego[3]) najbardziej szkodzi jego wesołości i zdrowiu. Przyjechał tu w najlepszym humorze, teraz ciągle smutny, od chwili znalezienia Jerzego w bachusowym humorze. Wczoraj na obiedzie piliśmy zdrowie Panny Tańskiej, o której pięknym talencie długo Adam mówił.

podał do druku
STANISŁAW PIGOŃ

---

[1]) Najwidoczniej odpis z rękopisu; „Poezje“, te wyszły w Petersburgu u Kraya z datą r. 1829; w kwietniu 1828 r. pisał o nich Mickiewicz Zanowi, że „wkrótce wydrukują się“.

[2]) Najprawdopodobniej mowa o K. Brodzińskim, redaktorze (w latach 1822 — 23) „Pamiętnika warszawskiego; Piasecki bawił w Warszawie w r. 1822, jadąc na studja do Niemiec.

[3]) Jerzy Mickiewicz właśnie pod koniec r. 1827 przyjechał do Petersburga.

LIBERUM VETO

Operacja się udała, ale chory umarł.

ZAISTE niezwykły i w uporządkowanych państwach nieznany widok! Podczas gdy w sejmie posłowie dzwonią na alarm do obrony przeciwko rujnowaniu społeczeństwa marnotrawczym budżetem, podczas gdy komisje obcinają w nim nadmierne i zbytkowne kredyty, w niektórych czasopismach drukuje się miłe bajki i ballady o naszym rozkosznym a oszczędnym raju ziemskim, w którym rolę Adama i Ewy grają Fiskus z drożyzną, w którym śpiżarnie obywateli są puste, ale skarb państwowy pełny, w którym ludzie chorują z głodu a leczeni są z przesytu, w którym zło jest dobrem a nieszczęście szczęściem. Czytają w „Świecie" piękną odę dyrektora S. Starzyńskiego do „uzdrowienia finansów", zdaje nam się, że wśród szumu i jęku wichrów słyszymy czarujący śpiew słowika, którego trele brzmią radosną wiadomością, że „że obciążenie jednego mieszkańca daninami publicznemi od r. 1924 utrzymuje się mniej więcej na jednakowym poziomie", bo gdy np. w r. 1913 wynosiło 15,12 w r. 1927/8 — 77,46 a w 1928/9 tylko 80, 86, złotych. Tylko!

Wpatrzmy się uważnie w tę różnicę między opinją społeczną a rządową, półurzędową i — za pozwoleniem — sanacyjną. Bo tkwi tu widocznie jakieś nieporozumienie.

Utrwalił się już zwyczaj, że pierwszym krokiem każdego nowego ministra po objęciu urzędu jest podwyżka jakichś opłat czyli powiększenie kosztów utrzymania. Ma to być dowodem współczucia dla nędzy proletarjatu i środkiem usunięcia zabójczej drożyzny. Dzięki tej zbawczej metodzie, zasługującej na wdzięczność społeczeństwa, korzec żyta w kraju rolniczym kosztował ubiegłej zimy 52 zł., metr tkaniny wełnianej 40 zł., para obuwia 60 zł., pokój z kuchnią 100 zł., nauka dziecka w szkole średniej 50 zł. miesięcznie itd., podczas gdy zarobki miesięczne „inteligencji pracującej umysłowo" wahały się od 150 do 300 zł. Zważywszy to nowy minister komunikacji podwyższył taryfę kolejową o 20%, a obecnie pojawiły się świeże projekty zwiększenia podatków. Oczywiście ten nieskończony łańcuch usuwający drożyznę nie zapowiada, ażeby to były jego ostatnie ogniwa. Przyczepia się inne, i jeżeli zmęczony tym łańcuchem obywatel śnił lub marzył, że kiedyś będzie zniżona cena zapałek o jeden grosz na miljonie pudełek, to niech się obudzi i otrzeźwieje na cały czas swego „uzdrowionego" żywota. Dlaczego tak się dzieje? Minister nie jest ani człowiekiem złośliwym, ani wrogiem społeczeństwa, ale obciążając je coraz bardziej, usprawiedliwia swoje okrucieństwo koniecznością zrównania dochodów z rozchodami w granicach swej gospodarki. Z chwilą przyjęcia teki przestaje być członkiem narodu a staje się buchalterem rządu, zapomina o budżetach domowych a pamięta wyłącznie o budżecie państwa, nie wpatruje się w potrzeby ogółu, ale w księgi rachunkowe swojego urzędu, traci wrażliwość na niedostatek pojedyńczych ludzi i odczuwa tylko niedobór w funduszach swojego ministerjum, nie widzi objawów życia, tylko cyfry na papierze — co zresztą przychodzi mu tem łatwiej, że ma pensję kategorji drugiej, a rozpaczliwa bieda zaczyna się dopiero od szóstej. Weźmy podwyżkę taryfy kolejowej. Rzeczywiście pomnożyła ona dochód i ten wynik uważa się za zysk. Ale że jednocześnie powiększyła drożyznę, że obciążyła budżety domowe, że sparaliżowała ruch handlowy i osłabiła energję gospodarczą społeczeństwa, tego nie bierze się w rachubę, chociaż to stanowi olbrzymią stratę, której nie pokrywa korzyść budżetowa. Chodzi o doraźny wynik dodatni, chociażby on w ostatecznym rachunku był ujemnym. Postępowanie zrozumiałe. Zdolności małe, albo leniwe ułatwiają sobie rozwiązywanie trudnych i powikłanych zadań przez uproszczenie. Zbogacić skarb państwa i jednocześnie wytwarzać bogactwo narodu — to jest właśnie takiem zadaniam. Więc odcina się drugą jego połową i dba się tylko o pierwszą. Daje to natychmiastowy efekt ognia bengalskiego, który szybko gaśnie, pozostawiając tylko swąd i puste gilzy naboju. Żadne mędrkowanie nie obala pewnika, że skarb państwa nie powinien zasilać się ograbianiem jego obywateli, bo ich bogactwo jest jego bogactwem. Rząd jest gospodarzem a nie łupieżcą i wyzyskiwaczem narodu. Przez pewien czas może on wyciskać z niego ostatnie krople krwi żywiącej organizm, ale prędzej czy później musi nastąpić zupełne wyczerpanie. U nas już ono się objawia wyraźnemi znakami — niedługo będziemy mieli zrównoważony budżet nędzarzów. W obradach sejmowych, w prasie niezależnej od kilku lat wykazywana jest konieczność wprowadzenia znacznych oszczędności w gospodarce państwa. Wymieniane są wysokie sumy, zmarnowane na rozmaite zbytkowne uposażenia, fundusze dyspozycyjne, tajemne zapomogi, djety, poufne usługi, bezzwrotne pożyczki, gratyfikacje, podróże, jałmużny i inne sposoby tuczenia inwentarza faworytów losu. W tę otchłań, w te żarłoczne i szeroko otwarte paszcze wpadają miljony, złożone w znacznej części z przymusowych ofiar głodomorów. A panowie Starzyńscy, spoglądając na wykazy skarbowe, cieszą się z tego, że od dwóch lat „dochody rosną... społeczeństwo płaci podatki bardziej regularnie i stale, do czego dopomaga usprawnienie aparatu skarbowego". Wymowny zachwyt! Gdy jednakże o tej samej pomyślności i z tej samej kompanji przemówi publicznie głębiej patrzący w rzecz prof. Krzyżanowski, tonacja *dur* zamienia się w jego ustach na *moll* w nutach bardzo smętnych, niemal płaczliwych.

„Obciążenie podatkowe w Polsce — opowiada p. Starzyński — jest jednak dwukrotnie mniejsze, aniżeli w Austrji, Czechosłowacji, i Italji (chyba we Włoszech), trzykrotnie mniejsze aniżeli we Francji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych". Nie sprawdzając tego rachunku, zauważę tylko, że gdyby nawet był ścisłym, nie przestałby być zabawnym. Brzmi on bowiem tak, jakgdyby ktoś chciał uzasadnić obciążenie podatkowe woźnego w ministerjum skarbu wykazaniem, że dyrektor departamentu płaci kilkakrotnie więcej. Powinnoby raz na zawsze ustać to albo naiwne, albo wykrętne żonglowanie cyframi porównawczemi, oderwanemi od rzeczywistości.

Gdybyśmy chcieli dowieść, że polski fabrykant samochodów, który wyrabia dwa na miesiąc i ma z nich tysiąc złotych zysku, jest lekko opodatkowany, bo Ford, który wyrabia 4000 samochodów dziennie i z nich ma miljon dolarów zysku, płaci podatku nieskończoną ilość razy więcej — dzieci roześmiałyby się z takiego rozumowania. A jednakże jest ono typowe we wszystkich uzasadnieniach podwyżek opłat publicznych. Ich twórcy i obrońcy nie widzą lub zasłaniają w swych porównaniach jedną, najważniejszą różnicę, mianowicie różnicę zamożności państw i narodów. Polska z natury uboga, osłabiona długą niewolą, zrujnowana wojną, zawichrzona wewnętrznym zamętem, nie może być stawiana na tym samym poziomie z krajami tak bogatemi i wytwórczemi, jak

Czechosłowacja, Niemcy, Francja lub Stany Zjednoczone. Wobec nich Polska jest nędzarką. Jeżeli na jednostkę ludzką przypada w niej przeciętnie sto złotych majątku, to stosunkowo w Czechach tysiąc, we Francji sto tysięcy, a w Stanach Zjednoczonych miljon. Podwyżka o dwa grosze na kilometrze za przejazd koleją jest dla amerykanina przydatkiem do ciężaru opłat jednego grama, dla polaka—cetnara. Brzemię życia, dźwigane przez naszą masę społeczną, już dziś przewyższa jej siły, coraz bardziej ona pod niem się zgina i często upada. Za wiele starań łożymy na to, ażeby skarb państwa był pełny, a za mało na to, ażeby naród mógł go napełnić. Tej pomocy i opieki czeka on od chwili odzyskania niepodległości i dotąd czeka daremnie. A pragnie tego ponad wszystkie inne wymagania od swych rządów, bo coraz jaśniej rozumie, że to nie jest wyłącznie kwestja jego zadowolenia, ale również kwestja jego bytu, że nie zdoła utrzymać niepodległości politycznej, jeśli nie zapewni sobie gospodarczej. Ostatnie podwyżki opłat publicznych, dokonane i zapowiedziane przeraziły społeczeństwo nie tylko swoim ciężarem, ale groźbą, że po tej niebezpiecznej drodze mamy iść dalej i nie widzimy jej końca. Pociecha i chluba obrońców tej drogi bogacącej skarb państwa a zubożającej obywateli, utrzymującej równowagę budżetu publicznego a niszczącej równowagę budżetów prywatnych, zbyt przypomina przechwałkę anegdotycznego chirurga: „Operacja się udała, ale chory umarł."

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

GORZKIE WSPOMNIENIE

ZIEMIA nasza wielkopolska święciła uroczyście dziesiątą rocznicę powstania 27 grudnia 1918 roku, dzięki któremu dokonało się zjednoczenie narodu niepodległego. Przy tej sposobności prasa poznańska i pomorska („Kurjer Pozn.", „Słowo Pomorskie") wspominając tę wielką chwilę, przypominają między innemi, jak straszna sytuacja ją poprzedzała z powodu postawy ówczesnego rządu warszawskiego. Trzeba takie rzeczy pamiętać, boć to nie sen, lecz rzeczywistość, która bez śladów nie minęła.

„W Warszawie Rada Regencyjna powołana do życia przez okupantów niemieckich i austrjackich oddała władzę zwierzchnią w ręce komend. Piłsudskiego. Piłsudski powierzył misję utworzenia rządu najpierw Daszyńskiemu, a gdy mu się to nie udało, stanął na czele „Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej" Moraczewski; rząd jego składał się z samych socjalistów i lewicowych radykałów.

W Paryżu tymczasem toczyły się rokowania wstępne, poprzedzające konferencję pokojową, która ustalić miała byt niepodległej Polski, w szczególności zaś wytknąć nasze granice zachodnie t. j. rozstrzygnąć o tem, jaki obszar ziem polskich ma być odcięty od Rzeszy Niemieckiej, a przyłączony do Polski. Dnia 14 grudnia 1918 r. przybył do Paryża prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, Woodrow Wilson.

Uznaną przez koalicję reprezentacją narodu polskiego był Komitet Narodowy Polski w Paryżu z R. Dmowskim na czele. Przedstawiciele Komitetu zostali przez koalicję powołani do reprezentowania interesów polskich na konferencji pokojowej w tych momentach, gdy wchodziły sprawy polskie pod obrady. Tymczasem w Warszawie rząd ludowy (socjalistyczny) Moraczewskiego wraz z ministrem spraw zagranicznych Leonem Wasilewskim zachowywał wobec koalicji stanowisko aż nazbyt wyraźne. Sprawa tego stosunku rządu warszawskiego do koalicji dozna całkowitego i gruntownego wyświetlenia zapewne dopiero po latach, gdy archiwa państwowe będą dostępne dla objektywnych badań historycznych. Dziś wszakże można stwierdzić niezbicie fakt ten, że na ów stosunek rządu warszawskiego do koalicji wywarła wpływ głównie okoliczność ta, iż w Warszawie byli u steru socjaliści, a rządy koalicyjne były „burżuazyjne". Wiadomo przytem notorycznie, że socjalizm polski chodził zawsze (tak jak i dziś chodzi) na pasku niemieckim.

A dodać należy, iż w rządzie Moraczewskiego zasiadali dawni aktywiści, którzy w czasie wojny mieli orjentację niemiecką względnie austrjacką.

Zważywszy te wszystkie okoliczności, można dopiero zrozumieć tę monstrualną prawdę historyczną, że w stosunku do zwycięskiej koalicji, która lada chwila miała rozpocząć dyktować pokój i ustanawiać nowe granice państwowe w Europie, że wobec tej koalicji rząd Moraczewskiego zachowywał stanowisko neutralne, równocześnie zaś pierwszym a zarazem jedynym posłem (ambasadorem) państwa obcego w Warszawie uznał w owych pierwszych miesiącach powstającego państwa polskiego, posła niemieckiego, hr. Kesslera. (Nawiasem dodać należy, że ten sam hr. Kessler osobiście uwolnił 9 listopada 1918 roku komendanta Piłsudskiego z więzienia magdeburskiego, jak przypomniała to w ubiegłym miesiącu prasa polska, powtarzając za *„Frankfurter Zeitung"* wspomnienia hr. Kesslera, dotyczące tego taktu historycznego).

Rząd Moraczewskiego poza socjalistami i skrajną lewicą, uznania w kraju nie miał. Kraj cały w chwili cudu zmartwychwstania Polski pragnął przedewszystkiem zgody, pojednania i zwartości, byśmy nazewnątrz, przedewszystkiem wobec koalicji, dali świadectwo naszej dojrzałości politycznej, a zarazem naszego zespolenia w jednej myśli i jednej woli: odbudowania mocarstwowej Polski w granicach jaknajdalej posuniętych na zachód, szczególnie z jaknajszerszym dostępem do morza.

Wtedy, gdy postawiona była na jedną kartę rozgrywka Polski o dostęp do morza, premjer gabinetu p. Moraczewski oświadczył korespondentom dzienników angielskich i amerykańskich, pp. Hiatt i Jeffries, że Gdańsk nie jest Polsce niezbędny, że wystarczy stworzenie neutralnej republiki gdańskiej. W tym samym czasie, w poniedziałek 15 grudnia, prezes ministrów p. Moraczewski udzielił wywiadu „Kurjerowi Warszawskiemu", w którym stwierdził, że ze strony rządu polskiego wobec koalicji „dotychczas do żadnych nie doszło zobowiązań" — za najważniejsze zaś zagadnienie państwowe w chwili ówczesnej p. premjer w tym samym wywiadzie uważał kwestję bezrobotnych. Miano czas na wszystko inne, na najprzeróżniejsze postanowienia, nawet na wydanie rozporządzenia, zdejmującego koronę z głowy godła państwowego, z Orła Białego, tylko na nawiązanie stosunków z koalicją czasu nie znaleziono"...

Że z tej sytuacji wprost „koszmarnej" wybrnęliśmy, to sprawił to Naród, który potrafił pomimo wszystko swą wolę narzucić i pokierować swemi losami. Ci wszyscy, którzy lojalnie powinni się radować z tego, że istnieje państwo polskie, niechże odpowiedzą, czy ono jest dziełem spółki narodowościowej, czy też narodu polskiego. Niech stwierdzą, że istnieje naród, a państwo jest jego tworem. Że wreszcie nigdy nie można przewidzieć, kiedy naród da swą wolę poznać. Czem bylibyśmy dzisiaj, gdyby nie instynkty dziejowe narodu, które nie dają się w błąd wprowadzić?

TEMIDA NA KURACJI

PO WYBUCHU rewolucji bolszewickiej w Rosji w listopadzie 1917 r. pierwszym odruchem szumowin było zakrzątnąć się koło sądów i archiwów sądowych. Wypuszczono więźniów, archiwa spalono. Wogóle tylko społeczeństwo żądne praworządności szanuje ślepą Temidę i jej wyroków się nie boi.

W Warszawie od wielu lat zbyt wiele się dyskutuje o tem, czy istotnie idea praworządności ma jaką wartość. Łącznie z tą kwestją omawiane było gęsto, czy słuszne jest uprzywilejowanie stanowiska sędziów, niepodlegających administracji. Dogmat świata cywilizowanego okazał się u nas kwestją względną. Z organu „Głosu Prawdy" bardzo interesowany osobiście redaktor tego pisma uczynił trybuną rewolucyjną, agitującą przeciw sądom. Nie był widocznie odosobniony, hasła jego bowiem zaczęto realizować.

Opinja publiczna w prasie i sejmie wyrażała dający się odczuć powszechnie niepokój, dlaczego skazany wielokrotnie Stpiczyński wyrokami podbija sobie delję i korzysta z wolności. Dlaczego bandyta Hipek

Warjat Ritter uzyskał urlop kuracyjny z więzienia i t. p. Zniecierpliwiony tem Stpiczyński odpowiedział w organie sanacyjnym BB. w te słowa:

„Panom z N. D., którzy mi go wypominają, mogę to tylko powiedzieć, że fakt, iż przez parę lat, bo do maja 1926 r. mogłem prowadzić względnie swobodnie tak ostrą z nimi walkę, gdy byli u władzy oficjalnie lub nie oficjalnie, — uważam za najlepszy dowód ich tchórzostwa i głupoty. Dziś płaczą, że nie odsiaduję moich wyroków! Cóż za nonsens! Trzebaż było mnie zamykać, gdy rządziliście wy, gdy los mój był w waszych rękach. Przyznam, iż zawsze byłem na to przygotowany. Lecz wy, nawet rządząc, byliście tchórzami. P. Kiernik jako minister bał się ciągle mnie, podczas kiedy ja nie odczuwałem żadnego lęku przed nim. Dzisiaj, po wygranej rewolucji, dla której pracowałem,. — panowie, miejcie tyle przynajmniej rozsądku, by nie popadać w rażącą śmieszność. Dzisiaj bowiem za krótkie macie ręce, by załatwiać ze mną swoje porachunki. Za późno".

Sytuację mamy jasną, w sposób autentyczny i autorytatywny wyjaśnioną. Co się tyczy niezależności sądownictwa, nastąpiło wyjaśnienie osobne tegoż pióra (nr. 347):

„Nie może być mowy o niezależności obecnego sądownictwa. Cóż z tego, że istotnie jest ono niezawisłe od rządu czy sejmu? Stokroć gorszą od tych zawisłości jest zależność jego części od ducha wrogiego demokracji i od N. Demokracji! I chodzi właśnie o to, że musi być stworzona możność wyzbycia się skutków tej zawisłości z wymiaru sprawiedliwości, co oczywiście bynajmniej nie leży w interesach prawicy sejmowej, lecz co jest palącą koniecznością Państwa i wszystkich czynników politycznych, reprezentujących demokrację".

Powody więc zamierzeń, jak widzimy, są czysto polityczne. Zasadę sprawiedliwości, sumienia, prawa uważają w sanacji za wymysł partyjny.

DYMISJA MIN. MEYSZTOWICZA

NAJCIEKAWSZE zdarzenie w polityce wewnętrznej w ciągu dni ostatnich — to dymisja ministra sprawiedliwości Meysztowicza. Dzienniki zaklasyfikowały ją już jako objaw „utraty wpływów" przez prawicową, t. zw. zachowawczą grupę w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem. Cios to zaiste najbardziej okrutny dla ugrupowania, którego jedyną myślą przewodnią, jedynem konsekwentnem i wytrwałem dążeniem było właśnie — posiadanie „wpływów" w sferach „miarodajnych". Program, dawna ideologja konserwatywna do ostatka już zostały wyprzedane za cenę chwilowych kompromisów, oparcia o szerokie rzesze społeczeństwa nie było właściwie nigdy. Pozbawiona „wpływów" w kołach „decydujących", czemże właściwie grupa zachowawcza Bezpartyjnego Bloku będzie mogła usprawiedliwić dalsze swe istnienie? „Car strzeli niełaskawem okiem"... Sanator „wypadł z łaski, z łaski, z łaski, z łaski..."

Najznamienniejszą cechą obozu „zachowawczego" u nas było zawsze głębokie przeświadczenie, że szczytem „realnej" polityki jest zdobywanie za wszelką cenę „wpływu" na osobistości i grupy rządzące w państwie. Formuły, jeśli chodzi o uzasadnienie „współpracy", bywały najrozmaitsze. Czasami mówiono: „Sędziwy i dobrotliwy monarcha okazuje nam tak wiele życzliwości"...; niekiedy znów: „Ten generał-gubernator to człowiek niezwykle inteligentny, o szerokim umyśle, a przedewszystkiem *gentleman* w każdym calu"...; innym razem wreszcie: „To wcale nie jest taki czerwony radykał, za jakiego go przedstawiają. Widuję go w ostatnich czasach bardzo często. Wyjątkowo ujmujący człowiek"... Zawsze jednak w najbardziej odmiennych warunkach, jedno pozostawało wspólne: „konserwatyści" nasi stale uważali władzę za coś będącego zewnątrz nich, powstałego od nich niezależnie, za czynnik odrębny całkowicie, samodzielny, z którym oni w imieniu „społeczeństwa" zawierają „ugodę". Nic nie może być bardziej obcego ich psychice, jak poczucie, że jedynym mocodawcą władzy państwowej jest naród i że więc w nich samych także, jako należących do narodu, złożona jest moralna odpowiedzialność za Państwo. Mógł p. Aleksander Meysztowicz piastować nawet wysoki urząd ministra, ale gdy w Sejmie krytykowano go z powodu nieukarania winowajców napadów na Zdziechowskiego, Nowaczyńskiego i Mostowicza, w odpowiedziach tego osobiście uczciwego człowieka wyczuwało się zawsze jakby bezradne rozłożenie rąk, jakby przyznanie: „Cóż ja na to mogę poradzić?"...

I dlatego niemałej naiwności trzeba było, żeby przypuszczać, iż ministrowie „konserwatywni" w rządach pp. Piłsudskiego i Bartla — to fakt dziejowego znaczenia, zapowiedź jakiejś zasadniczej zmiany ustroju państwa w duchu prawicowym, może nawet jakiegoś prawicowego... przewrotu. Wychwalana przez ziemiański „Dzień Polski" sprawność „techniczna", z jaką przeprowadzono usunięcie min. Meysztowicza z gabinetu, okazała się najdokładniejszą miarą wpływu i roli odłamu „zachowawczego" w obozie „pomajowym". Pożyteczna jest niekiedy taka lekcja — poczucia rzeczywistości.

R.

LIKWIDACJA NASTĘPSTW WOJNY

ROZPOCZYNAMY rok, który według oświadczeń kierowników polityki państw zachodnich, oraz według głosów urzędowej i półurzędowej prasy tych państw ma być rokiem likwidacji następstw wojny.

Traktat Wersalski nałożył na Niemcy szereg ciężarów i ograniczeń; gwarancją ich wykonania miała być okupacja Nadrenji. Zobowiązania są dla Niemiec ciężkie i przykre, gwarancje pozbawiają ich swobody ruchów. Stąd płynie niezadowolenie, będące powodem niepokoju i rozdrażnienia w stosunkach europejskich. Usunięcie tego rozdrażnienia jest celem polityki państw zachodnich, ma ono doprowadzić do wprowadzenia „normalnych" stosunków między państwami europejskiemi. Ponieważ największe nieporozumienia istniały i istnieją jeszcze między Niemcami a Francją, więc też z największą gorliwością pracuje polityka francuska nad tem, by te nieporozumienia usunąć, doprowadzić do zgody między dwoma sąsiadami i w ten sposób na trwałych podstawach oprzeć pokój w Europie. Nowe załatwienie sprawy odszkodowań i ewakuacji Nadrenji mają uwieńczyć te wysiłki. Gdy będą dokonane, następstwa wojny będą zlikwidowane i nic już nie stanie na przeszkodzie braterskiemu współżyciu narodów. Jak będą jeszcze jakieś nieporozumienia, to na to jest Liga Narodów — do której Niemcy należą — by je usunęła i wyrównała!

W powyżej przedstawionem rozumowaniu jest jednak pewna luka, wynikająca z tego, że to, co we Francji uważane jest zakończenie wysiłków zmierzających ku likwidacji wojny, to w Niemczech uważane jest dopiero za wstęp do tych wysiłków.

Dla francuzów likwidacją wojny będzie zwolnienie niemców ze wszystkich obowiązków i hypotek; dla Niemiec likwidacją wojny jest nietylko przywrócenie granic przedwojennych Rzeszy, lecz rozszerzenie tych granic przez przyłączenie Austrji.

To co francuzi uważają za *maximum* swych ustępstw jest dla niemców prologiem, wytworzeniem takich warunków politycznych, w których będą mogli postawić otwarcie i stanowczo swe istotne cele.

Francuzi spodziewają się, że rok 1929 zakończy okres trudności powojennych. Niemcy sądzą, że doprowadzi on do zmian, które pozwolą im wejść w okres daleko większych trudności, lecz także w okres prawdziwej likwidacji wojny, to znaczy zupełnego zniszczenia Traktatu Wersalskiego, czyli owoców tak drogo przez sprzymierzonych okupionego zwycięstwa.

Jeśli błędy polityki niemieckiej lub zasadnicza zmiana polityki zewnętrznej Francji nie wywołują zmian w polityce państw zwycięskich, to rok 1929 będzie rokiem likwidacji bezwzględnej przewagi tych państw nad Niemcami, a r. 1930 początkiem okresu walki Niemiec o likwidację postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego.

Jest bowiem rzeczą jasną i oczywistą, że natychmiast po ewakuacji Nadrenji wystąpią Niemcy z dwoma postulatami: 1) przyłączeniem Austrji i 2) rewizją granicy polsko-niemieckiej. Postawienie zaś tych postulatów otworzy w Europie okres takich trudności i powikłań, do których podobne można odnaleźć tylko przed r. 1914.

Program likwidacji następstw wojny w Europie ma tylko wówczas sens i podstawy realne, jeśli przewiduje zadowolenie wszystkich pragnień niemieckich, jeżeli jego wykonawcy zdecydowani są zezwolić Niemcom na utworzenie jednolitego bloku w środku Europy przez połączenie Berlina z Wiedniem, jeśli nie widzą nic niebezpiecznego w nowym rozbiorze Polski, są gotowi zgodzić się na oddanie Alzacji i Lotaryngji, oraz nie widzą możności powikłań z powodu ich pretensyj do Trydentu i Tryjestu. Wówczas mogą dalej „likwidować następstwa wojny“ aż do chwili, gdy w Europie zapanuje *pax germanica*. Jeśli jednak nie mają tego zamiaru, jeśli mają zamiar niedopuścić do wykonania wszystkich zamierzeń niemieckich, jeśli widzą w planie niemieckim żądania, wobec których są zdecydowani powiedzieć — „nie“, to pozbywanie się wszelkich atutów z ręki i doprowadzenie do tej ewentualności w chwili dla siebie najniedogodniejszej nie może być nazwane polityką... przewidującą. Bo można powiedzieć „nie“, gdy się jeszcze posiada siły dostateczne i dogodne warunki oraz obronić to swoje stanowisko metodami polityki i dyplomacji; gdy wszakże stosunek sił zmieni się na korzyść Niemiec, a warunki będą sprzyjające dla nich, to wówczas na poparcie tego „nie“ trzeba będzie strzałów armatnich.

Oto dlaczego w naszem przekonaniu tak zwany program likwidacji następstw wojny jak w istocie rzeczy programem przygotowania wojny nowej. A im dalej wykonanie tego „programu“ będzie posunięte, w tem gorszych warunkach przyjdzie toczyć tę wojnę państwom zwycięskim z r. 1918.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

KAROL DAWIDOWSKI

W PIĄTEK 14 b. m. zmarł nagle jeden z wybitnych pracowników na polu oświaty narodowej, ś. p. dr. Karol Dawidowski. Urodzony w Tarnopolu r. 1882 jako syn wysokiego urzędnika administracji pocztowej, ukończył gimnazjum św. Jacka w Krakowie i studja germanistyczne w Uniwersytecie Jagiellońskim oraz w Wiedniu, gdzie zdobył doktorat w r. 1908. Od r. 1904 pracował jako nauczyciel języka niemieckiego w gimnazjach krakowskich.

W wojnie światowej ś. p. Dawidowski nie uczestniczył, jako cierpiący zdawna na chorobę sercową. Jednakowoż wojna ta, wizja niepodległości Polski i niebezpieczeństwo zniszczenia jej raz na zawsze, w razie gdyby zwycięstwo miało przypaść Niemcom, których nienawistną potęgę on jako specjalista od kultury niemieckiej,znał najlepiej — to wszystko wstrząsnęło go do głębi. Zrodziła się w nim żądza bezpośredniej pracy społecznej, zrodziło się marzenie o pracy dla niepodległej Rzeczypospolitej.

Wreszcie poprzez ciemności burzy wojennej zaczął prześwitywać brzask niepodległości. Wcześnie o szarym brzasku, on stanał do pracy. W Królestwie, pod okupacją jeszcze powstawało szkolnictwo polskie. Werbunek nauczycieli szkół polskich odbywał się w Małopolsce za pośrednictwem zasłużonego Tow. nauczycieli szkół średnich i wyższych, a w Towarzystwie tem główny ciężar roboty spoczywał na ś. p. Dawidowskim, który oddał tu na pożytek szkolnictwa swoje szerokie znajomości w sferach nauczycielskich i swą niepospolitą znajomość ludzi. Równolegle z tem prowadził z zapałem wszechpolską akcję zjednoczenia nauczycielstwa polskiego bez względu na zabory i organizował wraz z garścią ludzi, oddanych tej idei, wielkie sejmy nauczycielskie. Nie tylko szybkie rozszerzenie organizacji nauczycieli szkół średnich (T.N.S.W.) na całą Polskę dokonało się głównie za jego sprawą; jemu także w dużej mierze należy zawdzięczać zjednoczenie nauczycielstwa szkół powszechnych w trójzaborowych organizacjach.

W. r. 1919 Dawidowski otrzymuje urlop od obowiązków służbowych i staje na czele Biura Związku Polskich Towarzystw Nauczycielskich w Krakowie. Przez jego biuro przy ulicy Basztowej w Krakowie przewijały się wówczas tłumy nauczycielstwa wszelkiej kategorji; tam spotykały się wspólne interesy różnych ugrupowań nauczycielskich, tam zasięgano informacyj co do warunków pracy na terenie ziem zachodnich, które w owym czasie miały wielki brak sił kwalifikowanych, tam zgłaszali się nauczyciele i kierownicy szkół prywatnych, potrzebujący zajęcia lub szukający nowych sił nauczycielskich. Było to wielkie biuro pośrednictwa pracy i zarazem instytucja, trzymająca rękę na pulsie nauczycielstwa.

Z chwilą stabilizacji stosunków Dawidowski przybywa do Warszawy i tu obejmuje obowiązki dyrektora biura Towarzystwa Nauczycieli Szkół średnich i Wyższych. Z tego stanowiska w r. 1921 minister Ponikowski powołał go do Ministerstwa W.R. i O.P., powierzając mu obowiązki sekretarza generalnego, czyli naczelnego prezydjalisty. Od tego czasu przez 5 lat niezmordowanie pracował na niezmiernie trudnem i odpowiedzialnem stanowisku, gdzie zbiegały się interesy wszystkich departamentów, gdzie ogniskowały się wszelkie sprawy ogólnej polityki ministerstwa, sprawy bardzo skomplikowane i wymagające wielkiego taktu i doświadczenia. Dawidowski wprędce te sprawy ogarnął, a jego prawość przy ogromnej zręczności uczyniły z niego niezbędnego doradcę wszystkich ministrów. Ministrowie oświaty z ramienia Związku Ludowo-Narodowego niejedną zdrową radę, niejedną trafną inicjatywę zawdzięczali współpracy Dawidowskiego.

Nie był to jednak tak popularny dziś w Polsce typ prezydjalisty, co to jak kameleon zmienia barwę skóry zależnie od barwy każdorazowego ministra. Dawidowski miał swoje zdanie i potrafił go bronić; miał też swoje plany w sprawie organizacji szkolnictwa,

plany oparte na głębokiem ukochaniu idei narodowej, której całe życie wiernie służył.

Takim był też w czasie, gdy rządy szkolnictwa spoczywały w rękach ministrów Głąbińskiego i St. Grabskiego: broniący śmiało swych indywidualnych poglądów na szczegóły organizacyjno-administracyjne i z zapałem współpracujący w wielkiem dziele przebudowy szkolnictwa, i unormowania stosunku Państwa do Kościoła, którą rozpoczęły epokowe ustawy zainicjowane i przeprowadzone przez Stanis awa Grabskiego.

I jakkolwiek Dawidowski bodaj że nigdy w życiu nie należał do żadnego stronnictwa, obóz narodowy ma prawo uważać go za swego, i to nie tylko na zasadzie harmonijnej współpracy z ministrami Związku L. N., ale bardziej jeszcze na zasadzie wielu dyskusyj, przeprowadzonych z nim niejednokrotnie w sprawach oświatowych.

To też w pierwszych miesiącach panowania tak zw. obozu „pomajowego“ Dawidowski został usunięty z ministerstwa, i jako 44 letni emeryt wrócił do swojej ukochanej pracy w Zarządzie Głównym TNSW. Wybrany wkrótce wiceprezesem, był w tym zarządzie najczynniejszym członkiem, był przewodniczącym Komitetu redakcyjnego „Przeglądu Pedagogicznego“ i duszą poczynań towarzystwa w obronie szkoły średniej 8-klasowej.

W ostatnich czasach interesował się głównie sprawą wychowania narodowego. Na ostatniem posiedzeniu Zarządu Głównego TNSW wygłosił wielki, pełen głębokich myśli referat, który miał się stać wstępem do dyskusji o wychowaniu narodowem na terenie Towarzystwa.

Stan jego zdrowia, który dawno nasuwał poważne obawy, pogorszył się znacznie zaraz po wspomnianem posiedzeniu. Jeszcze parę tygodni walki z coraz groźniejszą chorobą serca, aż przyszła śmierć znienacka w chwili, gdy zdawało się, że bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło.

Zgon jego pogrążył w smutku liczny zastęp jego kolegów i towarzyszy pracy, tych wszystkich, którym droga jest idea narodowego wychowania. W chwili, gdy tak bardzo zagrożona jest ta idea za sprawą prądów międzynarodowych, nie stało go pośród nas i została tylko pamięć świetlana. I został jeszcze przykład pracy jego wytrwałej i służby jego wiernej aż do grobu. Niechaj spoczywa w pokoju...

Q.

NAUKA I LITERATURA

Z ŻYCIA LITERACKIEGO I NAUKOWEGO

Na konkursie dramatycznym teatru im. Słowackiego w Krakowie, rozstrzygniętym w d. 27 grudnia, pierwszą nagrodę otrzymał Karol Hubert Rostworowski za sztukę pt. „Niespodzianka“ (4000 zł.), drugą nagrodę przyznano Adolfowi Nowaczyńskiemu za sztukę „Przedświty“ (3000 zł.) i trzecią — Ferd. Goetlowi za dramat „Samuel Zborowski“ (3000 zł.). Ogółem nadesłano na konkurs 82 sztuki. Przewodniczył w sądzie konkursowym prof. Kallenbach.

*

Biuletyn o państwowej nagrodzie literackiej za rok 1928, ogłoszony w urzędowej „Epoce“, brmi:

Sąd konkursowy nagrody literackiej ministerstwa W. R. i O. P. za rok 1928 w komplecie członków, Emila Breitera, Jana Adolfa Hertza, Stefana Kiedrzyńskiego, Stefana Kołaczkowskiego i Leona Pomirowskiego pod przewodnictwem prof. Józefa Ujejskiego zebrał się dwukrotnie w dniach 9 i 16 grudnia i rozważał następujące dzieła: Juljusza Kaden-Bandrowskiego „W cieniu zapomnianej olszyny“ i „Lenora“, Iłłakowiczówny „Płaczący Ptak“, Krzywoszewskiego „Walka“, Nałkowskiej „Niedobra miłość“, Perzyńskiego „Nie było nas był las“. W toku dyskusji wysunęły się na pierwszy plan jako utwory kwalifikujące się do tegorocznej literackiej nagrody dwa dzieła Juljusza Kaden-Bandrowskiego „W cieniu zapomnianej olszyny“ i „Lenora“. Zważywszy jednak, że „Lenora“ jest pierwszą częścią większej całości, sąd jednomyślnie postanowił przedstawić p. ministrowi do nagrody za rok 1928 dzieło Juljusza Kaden-Bandrowskiego „W cieniu zapmnianej olszyny“. Minister W. R. i O. P. dr. Świtalski wniosek sądu konkursowego zatwierdził“.

Zgóry było wiadomo, że nagrodę dostanie pisarz sanacyjny z „Głosu Prawdy“; Sąd konkursowy odpowiednio był dobrany. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego państwo nasze symbolizuje się w sądzie konkursowym, jako twór dualistyczny judeo-polski (3 : 3), skoro literatura jest polska i z natury rzeczy narodowa.

*

Dowiadujemy się z dzienników, że młody uczony Paweł Kucharski, przebywający od kilku lat na studjach w Paryżu, otrzymał obecnie w Sorbonie tytuł doktora z przysługującemi mu prawami państwowemi. Odznaczeń takich podobno cudzoziemcy dotąd nie otrzymywali. Kucharski bronił rozprawy z zakresu badań nad wrażliwością słuchu. Rodak nasz pochodzi ze Lwowa, jest synem zmarłego niedawno lekarza lwowskiego Piotra Kucharskiego, a wnukiem po matce Mikołaja Heidenreicha (Kruka). W roku 1920 wyszła w Warszawie jego rozprawa pt. „Współczesna myśl francuska“.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. uniw. warsz. Roman Rybarski wykończył dwutomowe dzieło niepospolitej dla historji Polski doniosłości pt. „Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu“. Ukazał się już w handlu księgarskim pierwszy tom, zawierający historję rozwoju handlu i polityki handlowej. Dzieło to, owoc wielkiej pracy niestrudzonego uczonego, wyszło nakładem Tow. Miłośników miasta Poznania. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Tom I obejmuje stron 363. Drugi tom ukaże się niebawem. O pracy prof. Rybarskiego damy wkrótce obszerniejszą wiadomość.

*

Nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegnera w Poznaniu wyszła przed gwiazdką powieść Juljana Wołoszynowskiego p. t. „Słowacki“. Drukowana jest na dobrym papierze ładnemi czcionkami i ozdobiona fotografją przystojnego autora, więc bierze się ją do ręki z przyjemnością. Po przerzuceniu jednak pierwszych kartek czytelnika ogarnia zniecierpliwienie, że tak ładny temat, jak życie Słowackiego autor opracował niedbale. Daje np. czytelnikowi do zrozumienia, że Słowacki przez cały czas swego pobytu w Warszawie musiał chodzić codziennie z Pałacu Paca na Miodowej do Komisji Skarbu (na Placu Bankowym) przez Żelazną Bramę. O tem, że mieszkał na Elektoralnej, nie wspomina. Utrzymuje natomiast, że w cukierni „te wielkie i smutne czarne oczy“ czytały pismo warszawskie, „zasłaniając się płachtą druku od tego świata“. Otóż owa „płachta druku“ była w owych czasach tego mniej więcej formatu, jakiego dzisiaj używamy do pisania listów. Szczytem wszystkiego jest opis pobytu Słowackiego w Londynie, który według p. Wołoszynowskiego był połączony już podówczas z Warszawą przewodami elektrycznemi. Dowiadujemy się z powieści tej również o istnieniu pisarki greckiej imieniem Antropos (Atropos). Jest to prawdziwa rewelacja, która jednak zniechęca do lektury.

*

Księgarnia Ś. Wojciecha zapoczątkowała wydawanie serji zbiorków poetyckich, mających treść z narodowego i religijnego ducha poczętą. Serja ta nosi tytuł „Czarnolasu“. W druku znajdują się tomiki: Szantrocha i Brzostowskiej, wyszedł zaś tomik obejmujący pośmiertną puściznę ś. p. Olimpji Ligockiej (żony znanego powieściopisarza) zatytułowany „Wieczór przed zmartwychwstaniem“. Z *postscriptum* poetyckiego, dopisanego przez męża autorki, dowiadujemy się, że śmierć jej istotnie nastąpiła w dzień Wielkiejnocy r. zeszłego. Przeczucie tej śmierci przedwczesnej wciąż przewija się przez utwory Ligockiej i jak niegdyś u Janickiego i Szarzyńskiego, kojarzy się z głęboką nutą religijną. Szczera i rzewna wiara bije z każdej karty, a łączy się z nią uczucia skruchy oraz wielkiej miłości dla Boga. Patrjotyzm, silne znajdujący wyrazy w wierszu „Powrócisz“, ufundowany jest na przekonaniu, że bez Chrystusowych zasad niema Polski.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Laureatem nagrody Goncourt'ów za r. 1928 jest p. Konstanty Weyer, autor *„Vers l'Ouest"*, *„Manitoba"*, *„La Bourrasque"*, *„Cinq éclats de Silex"*, *„Cavalier de la Salle"* i *„Un Homme se penche sur son passé"*. (Rieder édit.). Ta to ostatnia książka została nagrodzona. Bohater jej, francuz, wiedzie egzystencję, pełną przygód, w Kanadzie. Jest on handlarzem koni, a z amatorstwa i wielkim myśliwym. Na sprzedaży zresztą cennych skór także zarabia. Posiada on fermę, ale z niej, od czasu do czasu, ucieka, przyzwyczajony do szerokich horyzontów i niebezpiecznego życia. Przygody swe opowiada w sposób niezmiernie prosty, pozbawiony wszelkiego snobizmu. Tło główne tej powieści stanowi zmaganie się człowieka z naturą i wogóle z przeciwnościami. Pozatem p. Weyer niemniej ciekawie ujął i inny temat, a mianowicie antagonizm nie narodowy, ale poprostu uczuciowy, jaki wybucha pomiędzy małżeństwem, w którem on jest francuzem, ona irlandką. Ta ostatnia, pójdzie też za głosem krwi, opuszczając męża dla współziomka. Książka interesująca, sylwetki dobrze nakreślone, styl może tylko trochę pozostawia do życzenia. Autor zamierza i w dalszym ciągu pisać powieści, których akcja będzie toczyła się w Kanadzie, gdzie przebył sam znaczną część swego życia, mianowicie aż do wybuchu wojny. Kilkakrotnie i ciężko ranny, po latach spędzonych w szpitalu, nie mógł już potem powrócić do swej dawnej egzystencji. W tym czasie został zrujnowany, dlatego pozostał we Francji. Jest on redaktorem prowincjonalnego dziennika w Poitiers, a mianowicie *„Journal de l'Ouest et du Centre"*. Poza dalszemi utworami, jakie p. Weyer przygotownje z cyklu kanadyjskiej epopei, pracuje on obecnie nad studjum o Szekspirze, którego jest wielkim admiratorem. Zna on bowiem doskonale język angielski, gdyż w swoim czasie — zawsze w Kanadzie — zajmował się reportażem dla dzienników londyńskich. Dzisiaj jednakowoż, może z żalem, musi zadowolić się pracą redakcyjną za biurkiem, przeżywając nie mniej intensywnie, ale literacko, minione pasmo awanturniczych dni.

•

Fémina Prix Heureuse, t. j. areopag niewieści, przyznał znowuż nagrodę p. Dominique Dunois, autorce *„Georgette Garou"* (Calmann Lévy edit.). Powieść to chłopska, poprawnie napisana ale może nieco sztuczna zwłaszcza pod względem uczuciowym. Bohaterka, Georgette Garou, wychodzi zamąż za służącego, pracującego w tej zagrodzie. Nie mają jednakowoż dzieci i stara babka grozi, że ziemię zapisze przybranemu chłopcu. Georgette ma wreszcie syna, ale ojcem jego nie jest jej mąż. Na tem tle powstaje cały konflikt, gdyż po tem jeden i drugi od niej się odwraca, a ona zniechęcona nawet i do tej ziemi, dla której poprzednio nie zawahała się zgrzeszyć, pójdzie w świat za innym.

TEATR

MISTERIUM CLAUDELA

TEATR Narodowy zrobił śmiałe doświadczenie, wystawiając widowisko dramatyczne treści religijnej Pawła Claudela p. t. „Spoczynek dnia siódmego". Sam przekład tego pełnego zawiłości myślowych dzieła na język polski przedstawia wielkie trudności, aby to wszystko miało jakąś barwę uczuciową, dźwięcznie brzmiało i było zrozumiałe. Przekład, dokonany przez Stefana Godlewskiego, wypadł doskonale, słowo miało skrzydła poetyckie i jakąś bezpośredniość w stosunku do idei poematu. Reżyserja rozwiązała zagadki techniczne obrazów pomysłowo i pomyślnie. Grano poprawnie, choć z pewną beznadziejnością co do efektu, bo sztuka jest bez akcji. Krytyka oddała co komu należy, a jednak powstały znaczne różnice w ocenie wartości dzieła.

Trudno się dziwić, że krytycy wolnomyślni sarkali na temat, zarzucając Claudelowi, że zadał sobie zbyt wiele trudu, filtrując ideę katolicyzmu przez duszę staro-chińską na użytek katolickiej Europy, że wreszcie więcej w jego dziele bigoterji, niż poezji.

Zdaje mi się jednak, że samo stwierdzenie słabej wartości artystycznej dzieła, o które zresztą nie można się upierać, za mało objektywnie jest motywowane. Nie trzeba przypisywać Claudelowi zamiarów, leżących poza sztuką, mianowicie w żarliwości propagandy religijnej. Dla Claudela zagadnienia religijne są atmosferą normalną, tak stałą, jak dla innych komedjopisarzy sprawy miłosne. Dla starszego pokolenia liberalnego jest w tem coś niewiarogodnego, przywykło ono uważać tematy religijne za coś niewłaściwego, nie leżącego w dobrych obyczajach inteligencji. Ale należy się potrochu przyzwyczajać do zmian w obyczajach, nieco tolerancyjnie. Owe wolnomyślne nie są znowu tak dawne ani tak powszechne. Mieliśmy inne niedawno w romantyzmie, a Claudel w zagadnieniach religijnych żyje i nie przemyca ich, ma swoje wzruszenia i pragnie je artystycznie rozwiązać.

Zarzuciłbym mu raczej, że za mało jest w tem bezpośredni, a za bardzo literacki, za wiele splata wątków odwiecznych, rozmaicie już w dramacie i poezji stylizowanych. Dramat odrodzenia przez ofiarę i odkupienie wyrywał się zawsze z dziedziny wiary osobistej w sferę literatury przez swój pierwiastek społeczny — zbawianie środowiska. Bohater Claudela, starożytny cesarz chiński, przeżywa dramat tego wyższego rzędu, jako organ ducha swego ludu. Edyp — przypomnijmy sobie — tak samo dociśnięty jest błaganiem swego ludu o ratunek, tak samo kończy się jego ofiarą.

Koncepcja ta pochodzi z czasów, kiedy naród znajdował się w stanie psychologicznym podświadomości w stosunku do panującego, który był jego jaźnią — organem jego świadomości intelektualnej i moralnej. Lud tylko odczuwał, był fizjologicznem podłożem swego ducha, którego potencjalność deponowana była w monarsze. W czasach naszych już Konrad był Edypem, zbiornikiem ducha „miljona". Zadanie miał podobne jak cesarz Claudela, też zstępował do piekieł, gdzie zostawił swego pogańskiego sobowtóra rozczepiając się w ks. Piotra.

Mickiewicz miał zadanie trudniejsze niż Claudel ale poetycko wdzięczniejsze — On sam przebywał ten dramat. To nie było zadanie literackie, jak u Claudela. Pisarz francuski, jak niosą wieści literackie, zna „Dziady" Mickiewicza i widzimy, że poddał się ich wpływom. Sama koncepcja obrony ludu od zmarłych — to Mickiewiczowskie „a kysz—a kysz"! Ten sam guślarz, ta sama sprawa jadła i napojów, co w zabytkach pogańszczyzny litewskiej. Różnica jest ta, że Mickiewicz w tem wszystkiem tkwił sam i pisząc pierwsze części nie wiedział, jaki obrót wezmą dalsze. Ideę przemiany i ofiary zdobył na sobie własnem przeżyciem w Rzymie. Mickiewicz szukał, Claudel operuje tem, co już znaleziono. Wypadło mu to składniej — w trzech aktach — podczas gdy Mickiewicz, jakby skały rozsadzał, zostawiał złomy, szukał dalej; nie składa się to więc wdzięcznie w kształt architektoniczny. Taki dramat tylko jeden można w życiu napisać. Claudelowi pomagali Sofokles, Mickiewicz, Dante, Calderon, pomagała Ewangelja. Wziął wszystkiego potrosze w najprzedniejszym gatunku, ale *coctail* wypadł dość monotonny, tylko dlatego że brak mu temperatury twórczej samego Claudela. Najmniej jednak można się było spodziewać, że zagóruje nad wszystkiem motyw święcenia niedzieli.

Rzecz przeznaczona, raczej do książki i tam — bez skróceń scenicznych i dystrakcyj dla oka i ucha — jest interesująca, zwłaszcza w przekładzie polskim Godlewskiego, który słowu Claudela nadał zwięzłość i plastyczność, pełną świeżości i wdzięku.

Z. W.

OFENSYWA

WILLE NAD MORZEM...

AGENCJA „PRESS" rozesłała inforację, że posiadłość gen. Hallera w Hallerowie na Pomorzu została wystawiona na licytację publiczną. Termin licytacji wyznaczony na dzień 6 marca 1929 r. Posiadłość ta składa się z kawaląteczka ziemi i dwóch domów mieszkalnych. Będzie tego z półtorej morgi i dwie chałupiny z desek zbite, trochę drzwi, trochę okien, daszek, komin. Ale na licytację iść musi. Szóstego marca rodacy! Kto chce niech staje! Próżno i darmo. Nawet Święty Boże nie pomoże. Gotówki generał Haller nie ma. Nawet na pensję mu wsiedli. Jak tak dalej pójdzie, przeniesie się na stare lata na wieś do sędziwej matki, do Jurczyc.

Takie czasy nastały! „Błękitny generał", chluba narodu Sarmatów, bohater, wódz, zwycięsca. Jak trzeba było, musiał bronić Warszawy i obronił. Wtedy był dobry. I to, że formował wojsko polskie we Francji także dobrze. I że szedł brać Pomorze także pięknie. Wszyscy mu Hosanna śpiewali. Wiersze, powieści, portrety, owacje, kwiatami konie obrzucali...

A potem przyszły złe lata. Zanadto katolik! Nie trzeba żydów drażnić. I przyćmiewał swą glorją i popularnością tyle kopcących ogarków i takie gwiazdy z pod ciemnej gwiazdy. Więc poszedł. Szóstego marca licytacja. Kto może to niech kupi. Nie dużo kosztuje. Kupić nie kupić, potargować wolno. Już sobie nie będzie jeździł nad swój Bałtyk. Nie będzie go stać na to. Niech siedzi w domu.

A w Gdyni jest taka Kamienna Góra. Dawniej był tam gęsty las. Teraz gęsto stoją wille. Hoho! Omal pałacyki. Ogrodami otoczone. Jedyne *quartier* szykowne, wytworne, dalekie od portowego hałasu i zaduchu. A wśród tych willi jedna wcale, wcale. Wirydarz jak się patrzy dookoła. Wszystko solidne, murowane, dach galanty, piąterko. „Cacana"? Nie „Kadrówka"... Czyja? Bankiera jakiego, gwiazdy filmowej? Kamienicznika warszawskiego? Barona węglowego? Nafciarza? Burżuja? Endeka zatraconego? Nie.

Pięknej willi nad morzem właścicielem jest... Wacław Sieroszewski. Dziwne, dziwne. Nic, nigdy o tem Pomorzu nie wspomniał. Całego zaboru pruskiego gotów był zrzec się. Ani tam noga jego przed wojną nie postała. Podczas wojny z afektami do niemców się nie taił. Po wojnie na Kijów oczy i afekty miał zwrócone, na „Dzikie Pola". ... Nadto przecież tyle lat burżujów i kamieniczników wróg. I taki idealista i romantyk całe życie! O materjalne dobro i dobytek niedbały. Głową niby w obłokach? A jednak domeczek właśnie tu w najcudniejszym kąciku Polski sobie wystawił. Ładnym ogródeczkiem otoczył. I jako ten burżuj *domicilium*, habendę, Tuskulum ma. Co więcej! I jeszcze za wielkie bohaterstwo, za czyn heroiczny podziwiać to nam każe! Bowiem co oto czytamy w takiej broszurce, przedsiębiorstwo budowlane na Kamiennej Górze reklamującej:

> „Gdym ujrzał po raz pierwszy odzyskane morze polskie, postanowiłem odrazu, że czynić to będę nad lazurową jego zatoką. Był to naówczas zakątek głuchy, pustynne jary gliniaste i osypiska porosłe piołunem i dziewanną, wśród których ludzie dobrej woli pierwsze zaledwie wytyczali drogi.
>
> — Człowieku, co zamierzasz uczynić?! Budować dom za grosze, zebrane z takim trudem, tu na tem pustkowiu?, Szaleństwo!.. Niemcy cię ograbią, spalą! zbombardują z samolotów! Będziesz mieszkał tu sam bez sąsiadów, wygód i pomocy, gdyż nikt osiedlać się tu nie odważy!
>
> — Niema rzeczy bezwzględnie pewnych i wiecznych na świecie. Powiadacie, że odbiorą, że zniszczą? Lecz skoro ujrzą, że nie korzystamy ze szczęśliwie zwróconej nam ojcowizny, będą twierdzić słusznie, że nie miłujemy jej, że jest nam niepotrzebna!... Osiędę więc tutaj choćby mnie mieli jutro w gruzach pogrzebać! Bo serce, bo rozum każą mi stanąć obok innych na straży u otwartych wrót mego Narodu na dalekie przestworza!"

Oto jest i patos bohaterski! Choćby go mieli w gruzach pogrzebać szelmy Niemcy! (których od r. 1918 „nienawidzi", ale z którymi od r. 1914 — 1918 razem szedł i których bronił). „Bo serce, bo rozum każą" mu „stanąć na straży". I stoi „na straży" ładna willa bohaterskiego strażnika. A obok i dookoła sześćdziesiąt willi bogatych rodaków, fabrykantów, bankierów, rentjerów... Niejedna baletnica marzy o takiej „straży u otwartych wrót mego Narodu". Niejeden nowobogacki nawet nie przeczuwa, że i on stawiając wille takim się okazał... bohaterem... „u wrót"...

Ot uczyć się wam, Endeki, dykcji i deklamacji od tych męczenników, cierpiętników kawalarzy „*Virtuti Militari*", od tych socjalistów, radykałów, wrogów kapitalizmu i burżuazji. Ot pisarze i publicyści, obrońcy warstw posiadających! Przykład wam brać! życiowej sztuki sylabizowania! Gryziecie Paluchy z nędzy! Mieszkacie jak prolety! jak plebeje! Wyglądacie jak zmory! Niby to chcieliście tego morza! Prawda, kłapouchy!? A któż z was ma wille nad morzem? Kto stanął tam „murowaną" stopą „na straży"? Nikt? Ani jeden! Wstyd! Doprawdy wstyd! No a ten Haller? Także generał arystokracji! Bożyszcze burżujów, łyków, kołtunów, katolików. No i co z tego? Licytują go. Szóstego marca licytacja.

Rodacy śpieszcie sie! Kto da więcej?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Na marginesie sprawy praworządności w Polsce zanotować należy, że kiedy skazano na więzienie niejakiego Tadeusza Wieniawę-Długoszowskiego i kiedy wyrok się uprawomocnił po przejściu apelacji i kasacji, dziennik półurzędowy „Epoka" pozwala sobie przytaczać krytyki wyroku i protest przeciwko niemu socjalistów rewolucjonistów z „Przedświtu". Czytamy tam: „Podnosimy więc protest, wołamy do wszystkich (wsiem — wsiem), by uważnie spojrzeli na tę sprawę... Siłą logiki ciśnie się pytanie, co robi, dlaczego korzysta dziś z praw obywatelskich, choćby p. Sapieha, gdzie są ci, których agitacja i podburzania uzbroiły Niewiadomskiego?..." „Epoka" zaś dodaje: „Słusznie podniesione doniosłe zagadnienia domagają się szybkiego rozstrzygnięcia". Któż stanie w obronie sądownictwa, tej ostoi państwa, jeżeli o bezkarność upominać się będzie obóz współpracy z rządem, ideę państwa wynoszący jakoby ponad wszystko? Jakaż wyższa racja ponad państwową przyświeca obozowi temu, skoro z własnego łona wypruwa Sapiehę, aby go złożyć na ofiarę. Co za bigos!

*

Nie zajmowalibyśmy się pismem żydowskiem „Epoką", gdyby nie złowieszcza jego rola w naszem obecnem życiu politycznem. Boleść nam to sprawia, że w wigilję Bożego Narodzenia artykuł wstępny w tem piśmie, wyjaśniający znaczenie obrzędu łamania się opłatkiem i znaczenie Gwiazdki, pisze żyd Grosstern i że w artykule tym przemyca żydowską propagandę rozbioru Polski na „narody". Opłatek według niego oznacza, że ślubujemy zachowywać dobre stosunki „między narodami Rzeczypospolitej", że łamiąc się opłatkiem chcemy „przełamać choć część łańcucha krzywd ludzkich w Polsce"... Jakich krzywd? Cóż to za prowokacja przy opłatku? Skądże się wzięły „narody" w Rzeczypospolitej? Staje się paląca kwestja obrony większości narodowej w Polsce. Czy jest na świecie naród historyczny, któryby się pozwolił tak degradować w państwie swojem?

*

„Czas", organ konserwatystów, którzy stracili z ustąpieniem min. Meysztowicza główne w rządzie oparcie, salutuje pobieżnie pokonanego polityka i czemprędzej zgina się w pas przed nowym, zupełnie sobie obcym politykiem — min. Carem. Gabinet stracił „poważną siłę", ale też zyskał „poważną siłę". Wszystko więc dla „Czasu" jest w porządku. Owszem: „należy ten wybór uważać za trafny i dający rękojmię"... Jaką rękojmię? Na czem „Czasowi" zależy? Darmo pytać ludzi w liberji o program.

*

Ministerjum oświecenia — jak donoszą dzienniki — robi przygotowania w celu wprowadzenia do szkół średnich nauki nowego języka. Tym językiem jest „esperanto". Kiedy w pewnem towarzystwie próbowano rozmawiać w tym „języku", p. Kon zawołał: na co te ceremonje, gadajmy odrazu żargonem.

*

W zbiorku poezyj M. Rytarda „Noże wiosny" są tego rodzaju poematy:

Słońce. Wiatr. Południe.
Wieczór czerwony.
Noc cicha i ciepła.
Chodzę. Żyję. Śpię. Jem.
Słońce. Wiatr. Deszcz.
Wódkę mocną piję.

Całe szczęście, że na tych funkcjach poeta urwał. Poemat nosi tytuł: Hej! — co oznacza radosną twórczość. Dwa nadużycia: Cierpliwości papieru i wielkoduszności nakładcy.

NOWE KSIĄŻKI

Rokoszny Józef ks. System wychowawczy M. Darowskiej. Radom. 1928. S. 141.

Konfiskaty popowstaniowe w Sądzie Najw. Wyd. Pol. Związku prawników kresowców VII. Warsz. 1929. Skład F. Hoesicka.

Rosinkiewicz Kazimierz. Rogaty djabełek i jego bajki. Powieść (z ilustr.) Warsz. 1928. Księg. Polska. Tow. Macierzy Szk.

Skiwski Jan Emil. Poza wieszczbiarstwem i pedanterją. Poznań 1929. Fiszer i Majewski. S. 181.

Połczyński-Janta Aleks. Śmierć białego słonia (Poezje). Poznań 1929. Fiszer i Majewski.

Jehuda Ibn Ezra Gabrjel. Chrześcijańskiego żyda wspomnienia—łzy i myśli. Poznań 1929. Dom książki polskiej w Warszawie.

Peretiatkowicz Antoni dr. prof. Reforma konstytucji polskiej. Warsz.—Poznań. Skład główny w Domu książki Polskiej. S. 60.

Osten St. Eug. Na marginesie obecnego życia politycznego Polski. Myśli Piłsudsczyka. Warsz. 1829. S. 51.

W dziesięciolecie odzyskanej niepodległości. Przez autorkę „Rozważań narodowo-społecznych". Lwów 1928. Nakładem autorki. S. 80.

Wrocki Edward. Polska akademja wiedzy międzymuzycznej. Projekt. Warsz. 1928. S. 16.

Doświadczyński Tomasz. Dialog o reformie szkolnej. Warsz. 1928. M. Arct. S. 63.

Rybarski Roman. Handel i polityka handlowa Polski w XVI wieku. Tom I. Rozwój handlu i polityki handlowej. Poznań 1928. Nakładem Tow. Miłośników m. Poznania. S. 363.

D(ąbrowski) T(adeusz). Polityka konserwatywna. Warsz. 1928. Skład u Gebeth. i W. S. 195.

Zieliński Kaz. i Wajs. Edward. Szpital Przemienienia Pańskiego 1828—1928. Warsz. 1928. Wyd. Wydziału szpitalnictwa. S. 173. (wiele ilustr.).

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała w „Bibljotece Muzycznej" pod redakcją Mateusza Glińskiego:

I tom. Niewiadomski Stanisław. Stanisław Moniuszko.

II. Couvroy André. Dzieje muzyki francuskiej.

III. Szopski Felicjan. Władysław Żeleński.

IV. Opieński Henryk. Ignacy J. Paderewski.

V. Wieniawski Adam. Ludomir Różycki.

VI. Stromenger Karol. Franciszek Schubert.

Wszystkie w oprawie z ilustracjami.

Dickens Karol. Powieść o dwóch miastach. Przekład Teresy Świderskiej. Gebethner i Wolff.

Kaden-Bandrowski Juljusz. Lenora. Z cyklu „Czarne skrzydła". Powieść. Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Ręgorowicz Ludwik. Dzieje krakowskiej Akademji sztuk pięknych. Lwów 1928. Z. N. im. Ossolińskich. Str. 231 z ilustracjami.

Kubiński Roman. Mała gramatyka języka polskiego. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani Z. K. Z książek, o które Pani pyta, wskazać możemy: 1) co do podręcznika historji Polski „Dzieje Polski" prof. Wacława Sobieskiego, wydane w Warszawie przez „Zorzę" w r. 1924-25, 2) do dziejów ostatniego dziesięciolecia Polski: Stroński Stan. „Pierwsze lat dziesięć 1918 — 1928. Lwów, nakładem Gubrynowicza, cena zł. 20, Kutrzeba Stan „Polska odroodrodzona 1914—1928", wyd. III. Gebethner i Wolf, cena zł. 9 nr. jubileuszowy dziesięciolecia„Kurjera Poznańskiego" z 11.XI 1928 3) wstęp do filozofji — B. Russel: „Zagadnienia filozofji" 4) Historja filozofji — teraz właśnie wyszła w II wyd w Krakowie „Historja filozofji" A. Stoeckla i J. Weingartena, przełożona przez ks. Fr. Kwiatkowskiego, wyszło również nowe wydanie R. Euckena „Wielcy myśliciele" w przekładzie A. Zieleńczyka. Tamta jednak będzie przystępniejsza. Historja filozofji polskiej M. Straszewskiego jest zdaje się wyczerpana w handlu

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM